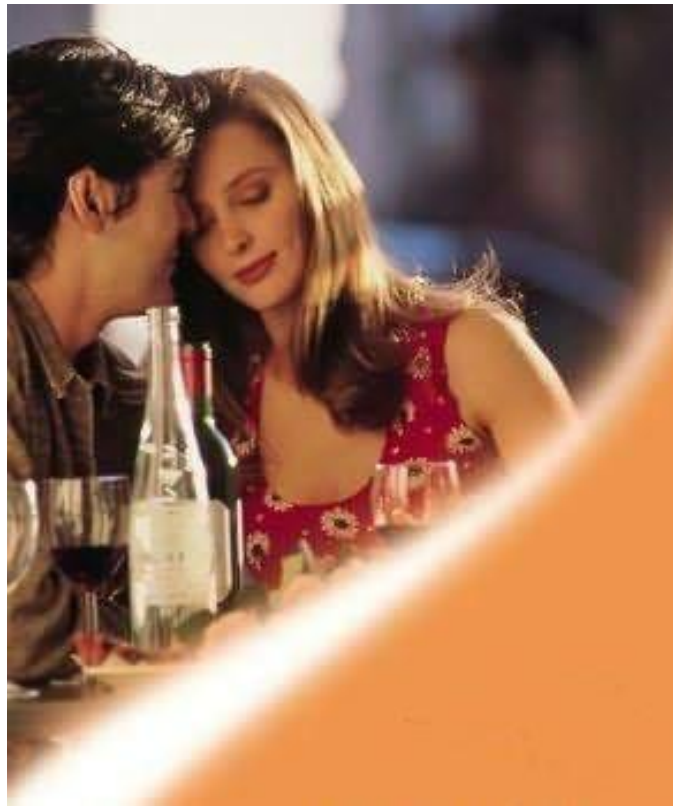




ANNE WEALE

KWIAT POMARAŃCZY

Tytuł oryginału: Spanish honeymoon



ROZDZIAŁ PIERWSZY

La mujer sin hombre es como el fuego sin leño.

Kobieta bez mężczyzny jest jak ogień bez podpałki.

Bywały takie noce, gdy Liz nie mogła usnąć. Głowa pękała jej od wspomnień. Ogarniały ją wątpliwości, żal, tęsknota, uniesienie wolnością, a jednocześnie uczucie paniki, że to, na co się zdobyła, graniczy z szaleństwem.

Wtedy zrywała się z łóżka, parzyła sobie ziołową herbatę i jeśli nie padało - a w tutejszym klimacie deszcz zdarzał się wyjątkowo rzadko - wchodziła zewnętrznymi schodkami na płaski dach swego domku.

Pewnej nocy siedziała tam, patrząc na oświetlone księżycem góry nad doliną, gdy raptem zaskoczył ją hałas. Dobiegał z dużej willi stojącej na łagodnym stoku, na którym położona była cała Valdecarrasca - mała hiszpańska wioska. Dom nosił nazwę *La Higuera*, czyli figa. Tylne okna wychodziły na dachy dużo mniejszych domków w uliczce, przy której od pół roku mieszkała Liz.

Rozległ się grzechot zwijanych żaluzji, a w oknach na piętrze zajaśniało światło. Liz zerwała się z leżaka, zbiegła schodkami i skryła się w domu. Nie zapalając światła, obserwowała z kuchni górne okna *La Higuery*, która od ponad pół roku stała pusta. Ciekawe, kto przyjechał? Może sam właściciel, Cameron Fielding?

Po tym, czego się o tym człowieku nasłuchiwała, nie miała najmniejszej ochoty dowiadywać się więcej. Chociaż oczywiście traktowała część tych niesamowitych opowieści z przymrużeniem oka.

Kimkolwiek był przybyły, musiał wejść do willi bez powiadomienia o tym Alicji, Hiszpanki, zatrudnionej do pilnowania domu. W wiosce plotkowano, że powinna robić generalne porządki raz w miesiącu, lecz pojawiała się w willi zawsze dopiero na dzień czy dwa przed przyjazdem Fieldinga lub jego gości. Skoro od miesiący nie pokazywała się w domu powierzonym jej pieczy, wszędzie musiała leżeć gruba warstwa kurzu.

Raptem jedna z żaluzji na górze zaczęła się unosić. W oknie ukazała się sylwetka mężczyzny. Nieznajomy był wysoki, barczysty i ciemnowłosy. Wyglądał na rodowitego Hiszpana.

W pewnym momencie w oknie pojawiła się druga osoba, kobieta. Podeszła do mężczyzny i objęła go. Natychmiast oderwał wzrok od doliny i wziął ją w ramiona. Przez dłuższą chwilę całowali się żarliwie. Nagle mężczyzna chyba wyczuł, że ktoś ich obserwuje, bo zaciągnął story.

Zawstydzona Liz również zaciągnęła firanki. Po ciemku zrobiła sobie jeszcze jedną herbatę i z filiżanką przeszła do sypialni. Miała zamiar poczytać, ale scena miłosna, której była świadkiem, wzbudziła w niej uczucie tęsknoty. Była też bardzo ciekawa, czy mężczyzna spostrzeżony w oknie willi jest tym legendarnym playboyem, którego miłosne podboje rozpałały wyobraźnię zamieszkałych w okolicy cudzoziemców. Utkwiły jej w pamięci liczne komentarze na ten temat: „Co się pokaże, to z inną dziewczyną”, „O matko, szatan nie mężczyzna”, „Absolutnie amoralny”, „No, ale skoro nie jest żonaty, to o co chodzi? Korzysta z okazji, i tyle”.

Miała podstawy, by nie znosić flirciarzy, którzy traktowali seks jak zabawę. Budzili w niej pogardę.

Wstała bardzo wcześnie. Myjąc zęby przed lustrem w łazience, pomyślała nie po raz pierwszy, że wygląda obecnie o wiele lepiej niż zaraz po przyjeździe z Anglii. Nigdy nie była piękną. Miała co prawda duże ciemnoniebieskie oczy i nieskazitelną cerę, ale ogólne wrażenie psuł za duży nos i zbyt ostro zarysowany podbródek.

Po szybkim gorącym prysznicu założyła biały T-shirt lekką granatową spódnicę i tenisówki. Miała zamiar pojechać na targ do oddalonego o parę kilometrów miasteczka, ale postanowiła najpierw popracować pół godziny w ogrodzie willi *La Higuera*.

Jeszcze poprzednia właścicielka domku Liz, Beatrice Maybury, Angielka w podeszłym wieku, podjęła się opieki nad ogrodem. Zapytała Liz, czy zechciałaby przejąć tę pracę, a Liz wyraziła zgodę. Zawsze lubiła pielęgnować rośliny, a ponieważ dysponowała skromnymi funduszami, ucieszyło ją dodatkowe źródło dochodów. Oczywiście nie wiedziała jeszcze wtedy, do jakiego gagatka należy dom. Pani Maybury nie napomknęła słowem o upodobaniach właściciela willi. Być może nic o nich nie wiedziała, gdyż żyła nieco na uboczu.

Liz weszła na teren posiadłości boczną furtką i energicznie ruszyła do ogrodu na tyłach. Większe domy w głównej części wioski nie miały przeważnie ogródków, a jedynie patia. Przez patio rozumie się na ogół wybrukowany plac przed domem, gdzie można posiedzieć. W Hiszpanii jednak tak nazywa się nie zadaszoną przestrzeń w obrębie zabudowania. W Valdecarrasca domki były zazwyczaj zbyt małe, żeby pomieścić patio. Miały tylko ogródek albo małe podwórko. Jednakże ogród za willą Fieldinga był wielkości kortu tenisowego.

Na początek Liz postanowiła zasadzić kilka kępek srebrnoszarego estragonu. Klęczała właśnie przy wąskiej rabatce, gdy usłyszała męski głos:

- Hej, kim pani jest?

Wystraszyła się tak, że aż krzyknęła i podnosząc się z kolan, prawie straciła równowagę. Mężczyzna podtrzymał ją.

- Przestraszyłem panią, przepraszam. Sądziła pani zapewne, że w domu nikogo nie ma. Wróciłem późną nocą... Cam Fielding - przedstawił się. - A pani to...?

Cameron Fielding był bezdyskusyjnie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Ubiegłej nocy wzięła go za Hiszpana, i nic dziwnego. Miał czarne włosy, oliwkową karnację i bardzo ostre rysy, jakie często wskazywały na arabskich przodków. Jednak oczy mężczyzny nie były brązowe, lecz stalowoszare.

- Liz Harris - powiedziała. Spuściła wzrok. Był bosy i pewnie dlatego go nie usłyszała. Zapewne dopiero co wziął prysznic, zszedł zrobić kawę i spostrzegł ją przez okno w kuchni.

- Jesteś córką pani Harris, czy też może jej synową? - zapytał

- Ani jedną, ani drugą. Liz Harris to po prostu ja.

- Bardzo by chciała, żeby wreszcie się odsunął.

Fielding był wyraźnie zdziwiony.

- Spodziewałem się kogoś znacznie starszego... w wieku Beatrice Maybury. Gdy napisała mi, że jej domek kupuje pewna Angielka, wdowa, wywnioskowałem, że jesteście równolatkami. Ile masz lat?

- Trzydzieści sześć. - Odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie puścił jej rękę. Nie wypada pytać obcej kobiety o wiek, pomyślała. - A ty? - odbiła piłeczkę.

- Trzydzieści dziewięć. Czy mąż był od ciebie dużo starszy, czy też śmierć zabrała go przedwcześnie?

- Był starszy o rok. Zmarł cztery lata temu. - Nie znała nikogo, kto przy pierwszym spotkaniu zadawałby tak osobiste pytania.

- Co się stało?

- Utonął, próbując uratować dziecko topiące się w morzu. Zginęli oboje - odpowiedziała przygaszonym głosem.

Bohaterski czyn Duncana wciąż stanowił dla niej zagadkę. Mąż był z natury ostrożny, niechętnie podejmował ryzyko. Odwaga, a zarazem lekkomyślność, jakie powodowały nim wtedy na plaży, nie leżały zupełnie w jego charakterze.

- Dzielny człowiek - powiedział Fielding. - Czy kiedy się to stało, mieszkaliście w Hiszpanii?

- Nie, w Anglii. W Hiszpanii bywaliśmy kilkakrotnie razem z jego rodzicami. Wynajmowali willę na wybrzeżu. Ja jednak wolę góry od nadmorskich kurortów. Brat Beatrice zna mojego teścia, zaproponował mu kupno tego domku. Przyjechałam tu z teściami, żeby go obejrzeć. Nie spodobał im się, ale mnie odpowiadał.

- No i jak ci się wiedzie? W tej części Hiszpanii na ogół osiedlają się angielscy emeryci. Chociaż mówiono mi, że ostatnio wzrasta liczba młodych, którzy znaleźli tu pracę. Masz jakąś robotę poza pielęgnowaniem tego ogrodu?

- Jestem projektantką tkanin dekoracyjnych. Pracuję na zlecenia. Projekty wysyłam pocztą elektroniczną...

Uwagę Liz rozproszył ruch na tarasie willi. Szła do nich dziewczyna. Podobnie jak Fielding, miała na sobie szlafrok. Uszyty z nieregularnych warstw szyfonu w kolorach zachodzącego słońca, otaczał zwiewnie jej zgrabną sylwetkę.

- Cam... - odezwała się grymaśnym tonem. - Lodówka jest pusta. Nie ma soku pomarańczowego.

- Wiem. Przyniosę coś ze sklepu. Nie spodziewałem się, że wstanieś tak wcześnie. - Przedstawił je sobie. - Pani Harris, to mój gość,

Fiona Lincoln. Pozwól, Fiono, poznaj moją sąsiadkę zza muru. Zajmuje się ogrodem.

Liz ściągnęła ogrodową rękawicę. Nie zaskoczyło jej to, że uścisk dłoni Fiony był ledwo wyczuwalny. Piękne kobiety, o czym Liz przekonała się z doświadczenia, prawie nigdy nie podawały ręki w sposób zdecydowany. Być może uważały, że silny uścisk nie jest kobiecy.

- Myślałam, że masz tu służbę - odezwała się Fiona do Cama.

- Zatrudniam kobietę do sprzątanía, ale coś mi się wydaje, że dawno tu nie zaglądała. Pani Harris, czy zna pani moją pomoc domową? Czyżby zachorowała?

- Beatrice wspominała mi, że wille sprząta Hiszpanka... zdaje się, że ma na imię Alicia. Nie widzimy się często. Ja bywam w ogrodzie na ogół przed śniadaniem albo późnym popołudniem. Alicia przychodzi pewnie w środku dnia.

- Zайдę do niej... A teraz przepraszam, już nie będziemy pani dłużej przeszkadzać. Do zobaczenia.

Kiedy odchodzili, objął dziewczynę w talii. Odprowadzając ich wzrokiem, Liz poczuła ukłucie zazdrości. Dałaby wiele, żeby życie obdarowało ją mężczyzną, na którym mogłaby się tak wesprzeć. Jednocześnie miała świadomość, że nie potrafiłaby sypiać z kimś ot tak, dla przyjemności.

Schodki prowadzące na taras były wąskie; po obu stronach, w glinianych donicach, rosły sukulentki. Przed wejściem na stopień Fiona owinęła się ciasniej szlafrokiem, prowokując Fieldinga. Niedwuznacznie spojrział na jej kształtną pupę. Widząc, jakie to na nim robi wrażenie, Liz zastanowiła się nie po raz pierwszy w życiu nad tym, jak to możliwe, że

niektórych mężczyzn podnieca seks z kobietą, której nie kochają. Taki sam był jej ojciec. Myśl o fizycznym zbliżeniu bez miłości budziła w Liz obrzydzenie. Wyszła za mąż bardzo młodo, toteż ominęła ją swoboda seksualna, której doświadczyła większość młodzieży z jej pokolenia. Duncan był jej pierwszym i jedynym mężczyzną. Ponowne zamążpójście wydawało się jej bardzo wątpliwe. Wolnych mężczyzn w stosownym wieku było niewielu. Poza tym - czy w ogóle chciałyby po raz drugi wyjść za mąż? Małżeństwo to przeogromne ryzyko. Westchnęła i zajęła się sadzonkami.

Po lunchu wybrała się na spacer spieczonymi od słońca alejami i wąskimi drózkami wśród winnic, które ciągnęły się od skraju wioski poprzez całą dolinę. Kiedy tu przyjechała, winogrona były zielone, nie większe od pestek pomarańczy. Obserwowała, jak rosną i dojrzewają. Obecnie liście winorośli czerwieniały już i brązowiały. Wracając, wybrała drogę, z której roztaczał się widok na całą wioskę. Nad dachami górowała wieża kościoła, a na zboczu rysowała się wyraźnie linia cyprysów przy drodze prowadzącej do niedużego, otoczonego pobielonym murem cmentarza.

Przez resztę popołudnia Liz pracowała nad projektem obrusu i serwetek. O szóstej zeszła na dół zrobić sobie drinka i zaczęła szykować sałatkę.

Miała właśnie przepołowić owoc awokado, gdy ktoś zapukał. Otworzyła drzwi i zaskoczona zobaczyła Camerona Fieldinga.

- Mam nadzieję, że nie zjawiam się w nieodpowiednim momencie. Czy możesz mi poświęcić pięć minut?

- Naturalnie. Proszę, wejdź do kuchni - powiedziała, zamykając drzwi.

- Przebudowałeś kuchnię... Teraz wygląda znacznie lepiej.

- Beatrice nie lubiła pitrasić, a mnie to bawi. Napijesz się ginu z tonikiem?

- Chętnie, ale bez cytryny.

Liz gestem zaprosiła swego gościa, żeby usiadł w wiklinowym fotelu.

- Co cię do mnie sprowadza?

- Zawsze podejrzewałem, że kiedy mnie nie ma, nikt nie sprząta willi. No cóż, prawie wszędzie miejscowi uważają cudzoziemców za frajerów, którzy mają więcej kasy niż oleju w głowie?.. Na zdrowie! - Uniósł szklaneczkę do góry.

- Na zdrowie! - powtórzyła. Czy zamierzał ją poprosić, żeby zajęła się nie tylko ogrodem, ale i sprzątnięciem domu?

- Ta Hiszpanka sprząta dokładnie, ale ktoś powinien mieć na nią oko - mówił dalej. - Może zechciałabyś przypilnować, żeby robiła, co do niej należy. Chciałbym też, by przed moim przyjazdem ktoś robił zakupy. Ale może masz za dużo zajęć, żeby podejmować się jeszcze jednego?

Liz szykowała się do lodowatej odmowy na wypadek, gdyby zaproponował sprzątnięcie. Nie dlatego, że uważała sprzątnięcie u kogoś za zajęcie poniżej godności, ale dlatego, że ją drażnił. Najwidoczniej uznał projektowanie za hobby. Zastanawiała się nad odpowiedzią, gdy dodał:

- Wspaniale opiekujesz się ogrodem, lepiej niż Beatrice. Za mało ci płacę. Jeśli zechciałabyś nadzorować Alicie, pieniądze będą oczywiście większe.

Wymienił sumę. Podwyżka była tak znaczna, że Liz zaniemówiła z wrażenia.

- Jeśli uważasz, że to za mało, gotów jestem negocjować. - Patrzył na nią uważnie.

- Nie, nie... to więcej niż dość. Muszę jednak pomyśleć. Nie mam pewności, czy chciałabym wziąć na siebie kolejne zobowiązanie. Poza tym... ten mój hiszpański... Mówię bardzo słabo. Miejscowi mają duże problemy z moim akcentem. Mówisz po hiszpańsku?

Kiwnął głową i wypowiedział parę zdań, proponując, żeby je przetłumaczyła.

- Bardzo dobrze - pochwalił. — Nie zapominaj, że miejscowi mówią dialektem valenciano, a nie kastylijską odmianą hiszpańskiego, którą posługują się urzędnicy w kontaktach z cudzoziemcami.

- Jak nauczyłeś się języka?

- Moi dziadkowie na starość zamieszkali w Hiszpanii. Rodzice również bywali często za granicą, a ja przyjeżdżałem tu na wakacje.

- *La Higuera* należała do twoich dziadków?

- Nie. Mieszkali na wybrzeżu, póki nie zrobiło się tam tłoczno. Dziadek zapisał mi dom w testamencie, ale wokół wyrosło zbyt wiele rezydencji z basenami. Sprzedałem go i kupiłem tę willę. Kiedyś osiadę tu chyba na stałe.

- Masz coś przeciwko basenom?

- W kraju, który zmaga się z niedostatkami wody, budowanie ogromnych prywatnych basenów jest szczytem nieodpowiedzialności. Wina spoczywa głównie na ustawodawcach. Pomyśl, aż do dziś nie wprowadzono nakazu, żeby wszystkie nowe domy były wyposażone w cysterny na deszczówkę. - Dopił drinka i podniósł się. - Będziemy tu do soboty wieczorem. Zastanów się nad wszystkim i zadzwoń do mnie. Numer jest w książce.

Odprowadziła go do wyjścia. Wracała do kuchni z niepokojącym uczuciem, że chciałaby, by został dłużej. A przecież, choć był przystojny i czarujący, nie miał zbyt wiele do zaoferowania. Był dokładnie taki sam jak jej

ojciec - czaruś bez charakteru, którego niewierność zamieniła życie matki w piekło. Charles Harris okazał się nieodpowiedzialny nawet jako rodzic. Dopiero dużo później Liz zrozumiała powody, dla których łamał obietnice, nie przychodził na wywiadówki i szkolne imprezy. Najważniejsze były dla niego kolejne romanse.

Starając się zagłuszyć ponure wspomnienia, Liz umyła szklaneczkę, z której pił jej gość, i odstawiła ją do kredensu. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Jednakże, chociaż bardzo się starała skupić na innych spr-

wach, osoba Fieldinga i perspektywa dodatkowego zarobku uporczywie zaprzętały jej myśli przez całą kolację.

Około ósmej poszła na górę do pokoju, który pełnił rolę gabinetu. Przejrzała pocztę elektroniczną i weszła na swoją ulubioną stronę w sieci. Internet pozwalał uciec od realnych problemów. Czasem miała wrażenie, że już się od niego uzależniła.

W piątek po południu zadzwoniła do Fieldinga.

- Mówi Liz Harris. Jestem zainteresowana twoją propozycją.
- Świetnie. Wpadnij, to dam ci klucze, a przy okazji obejrzysz dom.
- Teraz?
- Jeśli masz czas.

Kiedy pięć minut później otwierał jej drzwi, ubrany był w płócienną koszulę i szorty. W willi był przestronny hol i schody z przepiękną, chyba bardzo starą, kutą w żelazie balustradą.

- Fiona ucięła sobie drzemkę w ogrodzie - powiedział. - Byliśmy w nocnym klubie nad morzem. Mam nadzieję, że nasz powrót nad ranem nie zakłócił ci snu.

- Nie, skądże.

Oprowadził ją po parterze. Okna od ulicy były małe i okratowane, ale te od południa zostały wymienione na wysokie i pozbawione *rejas*, czyli krat, żeby nie psuć widoku na góry. Na środku ogromnej kuchni stał duży stół. Rozsuwane drzwi prowadziły do salonu, obok mieściła się sypialnia i duża łazienka.

- Tak wygląda dół, a na piętrze jest jeszcze kilka pokoi z łazienkami - wyjaśnił. - Zrobię kawę i wszystko obgadamy. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będę tu wpadał częściej - dodał, stawiając filiżanki i spodeczki na tacy. - Jak często, twoim zdaniem, trzeba tu sprzątać, żeby było w miarę czysto?

Liz oparła się o marmurowy blat.

- Nie mam pojęcia, czy Alicia sprząta starannie. Może zajrzę tu raz na dwa tygodnie i powiem jej, co trzeba zrobić. Jeśli uprzedzisz mnie wcześniej o przyjeździe, załatwię na czas wszystkie potrzebne zakupy.

- Wymienimy adresy mailowe - zaproponował. - W ten sposób ułatwimy sobie kontakt. Kartki i pisaki są przy telefonie.

Liz wyrwała karteczkę z kołonoatnika i zapisała dane, a Cam, czekając, aż zagotuje się woda, podał jej swój adres. Potem zaparzył kawę.

- Alicia chyba rzadko tu wpada. Mam nadzieję, że jeśli będziesz miała na nią oko, poprawi się. Jeśli nie, trzeba będzie poszukać kogoś innego.

- Dobrze. Jednak sprzątanie pustego domu pod nieobecność właściciela rodzi pokusę lenistwa. Alicia pewnie dołoży starań, jeśli będziesz tu przyjeżdżał częściej, a ja nie będę jej szczerzyć pochwał. To na ogół skutkuje.

- Spotykasz się z innymi obcokrajowcami, którzy się tutaj osiedlili? Jacy to ludzie? - spytał Fielding.

- Bardzo mili, podobnie zresztą jak miejscowi, tyle że...

Tyle że według miejscowych wdowa jest osobą stroniącą od życia towarzyskiego. Liz często doskwierała samotność.

Nagle drzwi tarasu otworzyły się i weszła Fiona. Miała na sobie bardzo skąpy dwuczęściowy srebrny kostium kąpielowy. Fielding podniósł się.

- Pachnie kawą. - Fiona pociągnęła nosem. - Napiłabym się. - Dopiero po chwili przywitała się z Liz.

- Dobrze się bawiłaś w klubie? - spytała Liz, żeby coś powiedzieć.

- Było OK. - Wzruszyła ramionami.

- Pójdę już. - Liz dopiła kawę. - Mam dziś mnóstwo pracy.

- Zaczekaj. - Fielding podał Fionie filiżankę kawy i sięgnął do tylnej kieszeni. - Proszę - podał Liz zwitek banknotów - to zaliczka... dla Alicii i dla ciebie.

- Możemy się rozliczyć następnym razem...

- A jak mnie sprzątnie jakiś terrorysta? Jutro rano wpadnę do banku i poproszę, żeby przesyłali pieniądze na twoje konto. Będą ci też potrzebne dodatkowe klucze. Dorobiłem je. Są w szufladzie w holu.

- Do widzenia, Fiono - pożegnała się Liz, wychodząc z kuchni.
- Pa, pa! - wymruczała ślicznotka, ale nie raczyła się nawet uśmiechnąć.

Musi być fantastyczna w łóżku, pomyślała Liz. Inaczej ten goguś nie wytrzymałby przebywania z kimś o tak prostackich manierach.

Gdy Cam wrócił do kuchni, Fiona prychnęła złościwie:

- Powinna sobie zrobić operację plastyczną nosa.
- Bo?
- Jest za duży.

- Mój też jest za duży - odparł Cam, pocierając wydatny nos odziedziczony po przodku, kapitanie „Jastrzębiu” Fieldingu. We wczesnych latach panowania królowej Wiktorii kapitan walczył przeciwko Afgańczykom, zginął bohaterską śmiercią w Kabulu. Cam dawno temu doszedł do wniosku, że to prawdopodobnie geny żadnego przygód przodka podyktowały mu wybór zawodu korespondenta wojennego.
- To nie to samo - odpowiedziała Fiona. - Duży nos u mężczyzny jest OK. U kobiety nie.
- Moją uwagę zwróciły jedynie jej oczy. Mają kolor przełączników.
- Uświadomił sobie, że Fiona być może nigdy nie widziała przełącznika, dodał więc: - To takie małe polne kwiatki, najbardziej niebieskie z niebieskich, wiesz?
- Nie podobasz jej się - oznajmiła Fiona. - Ja też. Patrzyła na nas krzywo. Ale nie przeszkodziło jej to wziąć od ciebie forsy.

- Dlaczego sądzisz, że się jej nie podobamy?

- Chyba ci zazdrości. Jesteś sławny, bogaty, zrobiłeś karierę, a ona jest nikim. Nie wydaje mi się też, by miała szansę złapać kolejnego męża.

- Zmysłowa z ciebie ptaszyna, Fifi, ale dobrego serduszka to ty nie masz - skomentował sucho Cam. – Ja postrzegam to inaczej. Wydaje mi się, że pani Harris wciąż jest w żałobie.

Posłała mu uwodzicielski uśmiech.

- Idę wziąć prysznic. Przyłączysz się?

W nocy, nie budząc kochanki, Cam wstał i zszedł na dół napić się wody. Kiedyś nie stronił od alkoholu, ale teraz pił bardzo rzadko.

Był zdrowy, sprawny i zależało mu na utrzymaniu formy. Dawno już nie pił tyle, co w tym tygodniu, z Fioną. Miał świadomość, dlaczego tak się działo. Ta dziewczyna zwyczajnie go nudziła. Popęłił błąd, przywożąc ją tutaj. Lubiła buszować po sklepach, bywać w eleganckich restauracjach, tańczyć. Tylko że jemu już znudziło się odgrywanie playboya.

Wypił szklaneczkę wody i zabrał drugą na górę. Sypialnię wypełniało księżycowe światło. Podeszedł do okna. Poniżej muru ogrodu ciągnęły się dachy kryte rzymską dachówką, często splekaną, dziurawą lub porośniętą mchem. Kilka domków było pustych albo służyły za magazyny. Tylko jeden dach był płaski - przebudowy dokonała Beatrice Maybury.

Pomyślał o zasadniczej pani Harris. Chyba dobrze zrobił, powierzając jej opiekę nad domem. Ogrodem zajmowała się rzetelnie, znacznie lepiej niż stara pani Maybury. Tak... Tyle że musiała być nieźle stuknięta, skoro zdecydowała się zamknąć w takiej dziurze jak

Valdecarrasca. Oczywiście, na pewno była wciąż w depresji po śmierci męża, który stracił życie w strzelistym akcie szalonej odwagi. Gdyby uratował tonące dziecko, byłby bohaterem. A tak...

Z pewnością praca projektantki przynosiła skromniutkie dochody. Pani Harris nie okazywała mu co prawda niechęci wprost, ale wieloletnie dziennikarskie doświadczenie uczyniło z Camerona mistrza w wychwytywaniu niuansów. Zapewne miała surowe zasady moralne i akceptowała tylko jeden model życia. Mężczyzna, jej zdaniem, powinien mieć stałą pracę od dziewiątej do piątej.

On jednak wybrał zawód, który wymagał spakowania się w parę minut i błyskawicznego dotarcia tam, gdzie działo się coś ważnego. Zazwyczaj tam, gdzie toczyła się wojna. W takim życiu nie było miejsca na żonę i dzieci. Niektórzy jego koledzy usiłowali co prawda łączyć jedno z drugim, ale zwykle kończyło się to rozwodem. Rozsądniej było nie podejmować takiej próby. Od pewnego czasu Cameron zastanawiał się, czy nie czas wycofać się z czynnego życia zawodowego. Nadeszła pora, żeby zostać studyjnym prezenterem albo znaleźć inny sposób zarabiania na życie. Miał wrażenie, że klucz do jego przyszłości leży w Internecie.

Wczesnym rankiem, tydzień potem Liz znalazła w poczcie elektronicznej wiadomość od Fieldinga.

Droga Pani Harris, obejrzałem pani stronę internetową. Jestem zbudowany. Może zamiast tkanin powinnaś projektować strony w sieci? Na początek - dla mnie...

Płacę obecnie obowiązującą stawkę. Co ty na to? Przejdźmy na ty. Moje uszanowanie. Cam

Liz wydrukowała listki i włożyła do torebki. Dzisiaj jechała do Caipe na spotkanie klubu komputerowego. Jeszcze dwadzieścia lat temu Caipe było senną rybacką wioską, teraz stało się modnym kurortem. Liz źle się czuła w tym mieście, ale klubowe spotkania sprawiały jej przyjemność.

Potem poszła z Deborah, rozwódką dobiegającą pięćdziesiątki, na lunch do chińskiej restauracji portowej. Knajpka znajdowała się obok Penon da Ifach, ogromnej wysokiej skały, która wyrastała z morskiego dna.

Po powrocie do domu Liz zasiadła do komputera, żeby odpowiedzieć Fieldingowi. Nie miała nic przeciwko temu, by przeszli na ty. Napisała:

Cam! Cieszę się, że podoba Ci się moja strona internetowa. Nigdy dla nikogo nie projektowałam strony, nie znam więc stawek. Mogę się jednak dowiedzieć i omówimy tę sprawę, kiedy znów tu przyjedziesz.
Liz

ROZDZIAŁ DRUGI

Entre col y col, lechuga.

Różnorodność jest smakiem życia.

Do tej pory Liz nawet nie przyszło do głowy, żeby zarabiać na projektowaniu stron internetowych. Strona zamówiona przez kogoś o znanym nazwisku mogłaby być świetną reklamą. Ale... Czy nie powinna unikać zbyt częstych kontaktów z Fieldingiem?

Odpowiedź Fieldinga napłynęła od razu.

Liz! Za parę godzin odlatuję na Środkowy Wschód. Mam nadzieję, że wrócę z tego piekła w przyszłym tygodniu. Postaram się przemyśleć sprawą swojej strony. Być może uda mi się wpaść do V. na dobę czy dwie. Będziemy więc mogli się spotkać. Uważaj na siebie. Cam

Nagle Liz zapragnęła zobaczyć, jak Cam pracuje, jak wyglądają jego relacje. Beatrice Maybury nie przekazała jej w spadku telewizora, a swój Liz zostawiła w kraju. Woląla czytać..

Nie zamierzała oczywiście prosić nikogo o możliwość obejrzenia „Wiadomości” na kanale, w którym pracował Cam. Wywołałoby to natychmiast plotki.

Pewnej bezsennej nocy uświadomiła sobie raptem, że informacji o Camie mogłaby poszukać w Internecie.

Usiadła na łóżku i sięgnęła po gruby szlafrok. Wsunęła ciepłe kapcie, przeszła do drugiego pokoiku i włączyła komputer.

Gdy kliknęła nazwisko Cama, ukazał się rozbudowany biogram i zdjęcie. Machinalnie kliknęła myszką, w ten sposób przesyłając zdjęcie na twardy dysk. Równie od- ruchowo przeniosła je do folderu „Moje dokumenty”.

W biogramie obok zdjęcia przeczytała:

Cameron Fielding jest bezdyskusyjnie najbardziej znanym korespondentem telewizyjnym. Podczas dwudziestoletniej kariery zawodowej pracował dla BBC, CNN, ITN i Stey News. Jego korespondencje zdobyły wiele nagród, m.in.: nagrodą Amnesty International Press, nagrodą Reportera Roku, nagrodą Jamesa Camerona.

Niżej zamieszczono wywiad.

Pyt.: Gdzie spędził Pan dzieciństwo?

Odp.: W rozmaitych miejscach, ze względu na zawód ojca. Mam brytyjski paszport, ale urodziłem się w Hongkongu, a potem wiele lat spędziłem w Tokio, Rzymie, Madrycie i Waszyngtonie, więc uważam się za obywatela świata.

Pyt.: Gdzie podjął Pan pierwszą pracę?

Odp.: Po ukończeniu wydziału historii współczesnej na uniwersytecie dostałem angaż w redakcji spraw zagranicznych BBC

Pyt.: Najbardziej pamiętne wydarzenie, jakie Pan relacjonował, to...

Odp.: Było ich sporo... Wydarzenia na placu Tiananmen w 1989 roku, wojna w Zatoce Perskiej w 1991, klęska głodu w Somalii w 1993, zamieszki w Soweto w 1996 roku. Każdy rok obfituje w straszliwe kataklizmy. Chciałbym, żeby media zwracały większą uwagę na pozytywne zjawiska.

Pyt.: Pańskie największe wady i zalety.

Odp.: Wady: bywam niecierpliwy, szczególnie w kontaktach z bezmyślnymi biurokratami. Zalety: chyba tolerancja.

Odp.: Gdyby można było cofnąć się w czasie, gdzie chciałby się Pan znaleźć?

Odp.: Chciałbym być reporterem na „Santa Marii”, statku Krzysztofa Kolumba.

Pyt.: Co Pana fascynuje, a co przygnębia?

Odp.: Fascynuje mnie Internet. Przygnębiają mnie natomiast zadowoleni z siebie i służący wyłącznie sobie politycy.

Liz przeczytała wywiad dwukrotnie i musiała przyznać, że odpowiedzi zrobiły na niej duże wrażenie. Dzieciństwo Fieldinga wydało jej się godne pozazdroszczenia. Zawsze marzyła o podróżach, ale zaborczość matki, brak funduszy oraz wczesne małżeństwo uniemożliwiły jej to. Obecnie nie odczuwała już takiej potrzeby wędrowania po świecie. Z lektur wynikało niezbitnie, że masowa turystyka dotarła do najbardziej egzotycznych zakątków ziemi. No cóż, trzeba było wyrwać się w świat w czasach młodości, teraz już za późno. Jak powiadała jej babcia: „Pewne okazje pukają do naszych drzwi tylko raz”.

Liz wyłączyła komputer i wróciła do łóżka. Zgasiła światło i przez pewien czas wspominała babcie. Tylko ona próbowała odwieść ją od małżeństwa. Jeszcze nie czas, Liz, mówiła. Jesteś taka młodziutka, nie masz doświadczenia... nie znasz innych mężczyzn. Na Duncanie świat się nie kończy. Małżeństwo babki nie było szczęśliwe, jednak Liz zlekceważyła jej rady.

A teraz... Pod powiekami miała obraz mężczyzny, którego zdjęcie zachowała w swoim komputerze.

Przesłana przez Cama prośba, by przed jego przyjazdem Alicia pościeliła łóżko w pokoju nad garażem, było dla Liz nieco zagadkowe, dopóki nie weszła po raz pierwszy na piętro. To właśnie nad garażem znajdował się pokój Cama.

Od razu rzucił się jej w oczy portret wiszący między oknami. Było to płótno olejne przedstawiające mężczyznę w mundurze wojskowym z XIX wieku. Na dole ozdobnej ramy znajdowała się mosiężna tabliczka z napisem:

Kapitan Nugent Fielding. I Oddział Bombajskiej Lekkiej Kawalerii.
Z całą pewnością kapitan to jeden z przodków Cama.

W pokoju było dużo rodzinnych fotografii i osobistych rzeczy. Liz zaciekawiał fakt, że Cam sypiał tutaj, gdy był sam, ale kiedy zapraszał do siebie dziewczynę, korzystał z pokoju gościnnego. Ciekawe, jak by to zinterpretował psycholog? Czy uznałby, że ma do czynienia z mężczyzną, który nie życzy sobie, by w jego prywatną przestrzeń wdzierала się kobieta? Z mężczyzną, dla którego kobiety są jedynie obiektami seksualnymi?

Była za kwadrans pierwsza. Liz miała właśnie umyć owoce na lunch, gdy zadzwonił telefon.

- Mówi Cam. Właśnie przyjechałem. Co robisz w najbliższym czasie?

- Nic szczególnego nie planowałam, ale...

- W takim razie pojedźmy gdzieś na lunch. Mamy sporo do obgadania. Będę u ciebie za dziesięć minut. Zgoda?

Liz pobiegła na górę, zrzuciła domowe ciuchy i wbiła się w gabarynowe szare spodnie i jedwabną bluzkę w biało-szare paseczki. Przeciągając pasek przez szlufki, wsunęła stopy w zamszowe półbuty, a potem włożyła swoje ulubione małe złote kolczyki. Zrobiła makijaż, wyszczotkowała włosy i spięła je czarną klamerką. Dopiero kiedy była gotowa, wpadła w lekki popłoch. Co ja robię? - pomyślała. Po co się tak staram? Dla kogo?

Dla faceta, który mnie drażni? Nagle przypomniała sobie, że z końcem lata w hiszpańskich restauracjach bywa niekiedy chłodno, wbiegła więc znowu na pięterko i chwyciła czerwony szal.

Z dołu już dobiegało pukanie do drzwi. Spodziewała się, że Cam zatrąbi klaksonem, ale gdy wyszła na ulicę, czekał, by otworzyć jej drzwiczki. Szybko wśliznęła się na miejsce z przodu. Bez wątpienia okazywanie nieskazitelných manier pomogło mu uwieść niejedną naiwną, pomyślała z przekąsem.

- Dziękuję. - Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy to mężczyzna okazał jej odrobinę galanterii.

- Co nowego w naszej wsi? - zapytał, siadając za kierownicą i zapinając pas.

- Nic... o ile wiem. Ty pewnie przeżyłeś mnóstwo przygód.

- Daj spokój... Włóczę się po całym świecie i zdaję relację z tych cholernych wojen. Jestem tym zmęczony. - Zerknął w boczne lustro i zjechał na jezdnię. - Przestało mnie to rajcować, co oznacza, że czas z tym skończyć i znaleźć sobie coś ciekawszego do roboty.

- Na przykład co?

- Może zostać drugim Geraldem Seymourem.

- Nazwisko znam, ale nie wiem, o kogo chodzi.

- Seymour był korespondentem wojennym. Teraz pisze świetne kryminały.

- Jasne, przypominam sobie. Mój mąż lubił czytać. Nie był mołem książkowym, ale kiedy wyjeżdżaliśmy na urlop, zawsze kupował jakiś kryminał na lotnisku.

- Niestety, brak mi wyobraźni Seymoura – westchnął Cam - i chociaż bywają wyjątki, z pisania niełatwo się utrzymać... A tak przy okazji, mój dom wygląda teraz świetnie. Twoje układy z Alicią są zapewne bardzo dobre.

- Poprawił się też mój hiszpański - odparła Liz. - Zaczęłam czytać niedzielne wydanie „31 Mundo”. Są tam znakomite dodatki poświęcone medycynie i historii. Ich lektura zajmuje mi cały tydzień, ale w ten sposób poszerzam słownictwo.

- W biblioteczce w dużym pokoju jest trochę hiszpańskich powieści. Jeśli chcesz pożyczyć którąś z nich, nie krępuj się.

- Bardzo dziękuję. Na pewno nic nie zniszczę.

- Gdybym miał najmniejsze wątpliwości, nie zaproponowałbym ci tego. - Na sekundę odwrócił wzrok od szosy i uśmiechnął się. - Nie-wielu osobom pozwalam grzebać w swoich regałach.

Choc starała się to ukryć, stwierdzenie Cama sprawiło jej przyjemność.

- Jeśli są tu w okolicy jakieś niezłe restauracje, to ja niestety ich nie odkryłem - mówił dalej. - Ale z „Vistadel Coli” jest przynajmniej ładny widok, a jedzenie powinno być znośne. Znasz tę knajpkę?

- Mijałam ją, ale nigdy tam nie jadłam.

- Klientelę stanowi dość dziwna mieszanka leciwych imigrantów i hiszpańskich robotników. W weekendy i święta Hiszpanie przychodzą tam całymi rodzinami. W Anglii czegoś takiego nie zobaczysz.

Przed restauracją, choć dla Hiszpanów było jeszcze za wcześnie na lunch, stało już kilka samochodów.

- Wolisz jeść w środku czy na dworze? - spytał Cam. gdy wchodzili schodkami na taras.

- Dzień jest taki piękny, że szkoda wchodzić do środka. - Liz zostawiła szal na tylnym siedzeniu.

- Też tak myślę. Może tu? - Wskazał stolik, gdzie oboje mogli siedzieć przodem do gór. Ledwo odsunął dla niej krzesło, natychmiast pojawił się właściciel. Najwyraźniej zapamiętał Cama z ubiegłych odwiedzin i po przywitaniu obaj zaczęli rozmawiać bardzo szybko po hiszpańsku. Restaurator skłonił się przed Liz i podał jej kartę dań.

- Czego się napijesz? - spytał Cam. - Może kieliszek białego wina?

- Wolałabym wodę mineralną. - Chciała zachować absolutną jasność umysłu.

Cam zerknął na nią ze zdziwieniem, ale nie skomentował jej oświadczenia.

Kelner podał butelkę wody mineralnej, kieliszek białego wina, koszyczek białego pieczywa i miseczkę algoli - czosnkowego sosu do chleba.

- Kiedy byłem nastolatkiem, alioli robiono zawsze na życzenie - powiedział Cam.

Liz upiła łyk zmrożonej wody i spojrzała na góry. Po co udawać, przyjemniej było siedzieć tutaj, na słońcu i w towarzystwie interesującego mężczyzny, niż jeść kolejny samotny lunch w domu.

- Czy twój ojciec i dziadek też byli dziennikarzami? - zapytała.

Pytanie wyraźnie go rozbawiło.

- Ależ skąd! Nie pochwalali mojego wyboru. Chcieli, żebym tak jak oni objął posadę w ministerstwie spraw zagranicznych, ale los zdecydował inaczej. Wierzysz w przeznaczenie?

- Nie wiem. A ty?

- Nie. W gruncie rzeczy wierzę, że o ludzkich losach decyduje przypadek. Przypadek, który odwiódł mnie od rodzinnych tradycji, zdarzył się w Addis Abebie. Wiesz, gdzie to jest?

- Naturalnie. W północno-wschodniej Afryce. To stolica Etiopii.

- Twoja znajomość geografii jest zatem wyższa od przeciętnej. Zdziwiłabyś się, jak wiele osób ma zaledwie blade pojęcie o miejscach poza własnym krajem. A przypadek, o którym wspomniałem, zdarzył się w czasie wakacji, kiedy jeszcze studiowałem. Wybuchł skład amunicji. Reporter telewizyjny stracił życie. Kamerzysta i operator dźwięku zostali sami. Zaproponowałem, że zastąpię ich kolegę. Relacje, które przygotowaliśmy, okazały się na tyle dobre, że zaraz po studiach dostałem angaż w BBC. A ty... jak zaczynałaś?

- Jako goniec w biurze. Potem dochrapałam się stanowiska asystentki szefowej pisma dla krawcowych. Wymyślanie wykrojów było moim hobby. Zawsze brakowało dobrych projektów, więc skorzystano z kilku moich. Po pewnym czasie awansowałam. Miałam szansę na stanowisko szefowej działu, ale... Przyszedł moment, kiedy nagle sobie uzmysłowiłam, że nienawidzę dojazdów do pracy i w ogóle wielkiego miasta. Miałam dosyć północnych wiatrów i lata, które właściwie nie jest latem...

- Świetnie cię rozumiem - przytaknął Cam. - Chciałbym spędzić dziewięć czy dziesięć miesięcy tutaj, a pozostałe w Londynie lub Nowym Jorku i... - Przerwał, gdyż właściciel restauracji podszedł przyjąć zamówienie. Gdy Cam stwierdził, że jeszcze się nie zdecydowali, wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się wyrozumiale i poszedł przywitać nowo przybyłych gości.

- Na co masz ochotę?

- Jeśli można, proszę na początek sałatkę, a potem pieczoną jagnięcinę.

- A wino?

Pokręciła głową.

- Lubię wino... ale nie mogę pić tyle, co...

- Wiem, wiem... - odpowiedział ironicznie. - Bywałem na tutejszych imprezach, wiem, jak często się odbywają. Tak to już jest w dużych skupiskach cudzoziemców. Ludzie zamieszkali na obczyźnie dzielą się na dwie grupy. Jedni wtapiają się w nową kulturę i obyczajowość, drudzy nigdy nie czują się u siebie. Czy poznałeś Drydensów? To oni jako pierwsi cudzoziemcy osiedlili się kiedyś w naszej wiosce.

- Słyszałam o nich, ale nie spotkaliśmy się. On, zdaje się, jest Amerykaninem.

- Todd urodził się w Ameryce, ale to kosmopolita. Spędził poza Stanami kawał życia. Zajmował jakieś ważne stanowisko w przemyśle naftowym, ale po czterdziestce dostał zawału i ledwo go odratowali. Drydensowie postanowili potem żyć na zwolnionych obrotach i przyjechali do Hiszpanii, gdzie Leonora zabrała się za odnawianie rozsypujących się domów. Zmieniała je w rezydencje dla nadzianych obcokrajowców, którzy zmykali z ojczyzny przed deszczem i mgłą.

- Ci państwo mieszkają, zdaje mi się, w domu obok kościoła. Z muru na ulicę zwiesza się przepiękna purpurowa bugenwilla i niebieski powojnik.

- Tak. Leonora kupiła ten dom wiele lat temu, gdy jeszcze mieszkali z Toddem na wybrzeżu i mieli jacht. Ceny były dużo niższe, a tereny oddalone od morza - niemodne... Myślę, że Drydensowie zaproszą cię

na przyjęcie po Nowym Roku. Zawsze zapraszają wtedy nowych. Ci, którzy przejdą pomyślnie ten swoisty egzamin, są potem zapraszani bardzo często. Leonora nie cierpi głupców i nudziarzy.

- To taka ważna osobistość?

- Nie ma cierpliwości do ludzi, którzy nie wzbudzają jej sympatii. Na pewno zrobi na niej wrażenie fakt, że przyjechałaś tu sama. To wymagało odwagi.

- Byłam zdesperowana. Popadłam w jakąś obezwładniającą rutynę i musiałam się z tego wyrwać.

Cam dał znać restauratorowi, że chce złożyć zamówienie.

- Życzysz sobie wino białe czy czerwone? Mają też różowe.

- Dostosuję się do ciebie - odpowiedziała bez zastanowienia i nagle zrobiło jej się głupio. Chyba nie doszukał się w jej odpowiedzi oznak uległości?

Złożywszy zamówienie, Cam powrócił do poruszonej przez nią kwestii rutyny.

- Mam podobne odczucie. Nie wiem, czy istnieją naukowe podstawy do twierdzenia, że co siedem lat przechodzimy istotną wewnętrzną przemianę, ale sądzę, że dobrze jest przyjrzeć się swemu życiu co jakieś dziesięć lat. Nie chcę, żeby piąta dekada upłynęła tak samo jak trzecia i czwarta. Było ciekawie, ale pora na coś nowego.

Podano wino. Zazwyczaj w dobrych restauracjach nalewa się gościowi odrobinę do spróbowania i kelner czeka na decyzję. Tutaj obyczaj ten zignorowano. Z całą pewnością rozczarowałyby to Duncan i teścia Uz, którzy lubili udawać koneserów, ale Cam nie zareagował.

- Wypijmy za nas - powiedział. - Za rezygnację z wyścigu szczerów. Oby nam się powiodło.

Liz odpowiedziała dość sztywnym uśmiechem, wyraźnie zmieszana. Poczła się jeszcze mniej pewnie, gdy po chwili Cam wzniosł kolejny toast.

- Za twoje sukcesy w projektowaniu stron internetowych... na początek dla mnie.

Liz odstawiła kieliszek.

- Powinniśmy na ten temat porozmawiać. Po to tu przyjechaliśmy.

TLR

- Wiem, ale interesy miło jest łączyć z przyjemnością, nie sądzisz?

- Zapewne masz rację, ale tylko wtedy, gdy wiadomo, gdzie zaczynają się i kończą interesy. Cieszysz się opinią... podrywacza, a wielu mężczyznom wdowa wydaje się łatwym łupem. Chcę po prostu, byś wiedział, że ja nie jestem zainteresowana. Niczego nie oczekuję...

Poczuła nagle, że posunęła się za daleko. Niepotrzebnie zepsuła nastrój sympatycznego w końcu spotkania.

- Przepraszam, jeśli zabrzmiało to brutalnie – dodała szybko. - Chciałabym jedynie uniknąć... nieporozumienia. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem zbyt atrakcyjna. W porównaniu z Fioną...

Kiedy mówiła, Cam odchylił się i patrzył na nią z miną, której nie umiała zinterpretować. I nagle kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu.

- Chyba bardzo nie lubisz mężczyzn, którzy ci się narzucają - powiedział łagodnie. - Wyznam ci więc coś, co cię uspokoi. Podrywam wyłącznie te osobki, które mają na mnie wyraźną ochotę... a i to nie zawsze - dodał sucho. - A zatem wyluzuj się. Jeśli powiem na przykład, że do twarzy ci w tym stroju, będzie to najzwyczajniejsze stwierdzenie, bez żadnych podtekstów.

W tym momencie kelner postawił na stole przystawki. Zapiekaną dla Cama podano w małej, okrągłej glinianej miseczce, gorącej jeszcze po wyjęciu z pieca albo – co bardziej prawdopodobne - z mikrofalówki.

- Kiedy moi dziadkowie przyjechali do Hiszpanii - powiedział - łatwo było o gosposie i dziewczyny do sprzątania. Mieli fantastyczną kucharkę. Przyrządzała nie tylko dania regionalne, ale i przysmaki typowe dla innych prowincji. Jeśli chodzi o kuchnię, Hiszpania jest bardzo zróżnicowana i każdy region uważa swoją za najlepszą.

Oderwał kawałek chleba i zanurzył go w czerwonym sosie. Włożył chleb do ust, żuł przez chwilę i ukontentowany kiwnął głową.

- To przynajmniej nie jest sklepowy gotowiec. A teraz... przejdźmy do interesów. Pytałaś, jakim celem ma służyć moja strona internetowa. Zależy mi na tym, żeby było na niej CV, ale nie tylko...

Rozmowa na temat strony internetowej trwała aż do końca posiłku. Cam, podobnie jak Liz, wybrał jako danie główne pieczoną jagnięcinę.

Napełnił kieliszek Liz i raptem zorientowała się, że wypili już trzy czwarte butelki. Pozwoliła sobie na więcej niż zazwyczaj, dlatego postanowiła, że ten kieliszek będzie ostatni.

- Puddingów nie jadam - powiedział, gdy po posiłku sprzątnięto ich talerze. - Ale ty sobie nie odmawiaj. Tutaj serwują domowe, nie ze sklepu.

- Ja też nie lubię puddingów. Są zbyt kaloryczne.

- Kocham sery, ale hiszpańskie nie są najlepsze. Cabrales, kozi ser, bywa smaczny, lecz w restauracjach prawie nieosiągalny. W supermarketach też nieczęsto się go widuje. - Objął Liz wzrokiem. - Nie wyglądasz na osobę, która miałaby problemy z wagą.

- Nie mam, ale wolę się pilnować. Codziennie spaceruję i trochę pracuję w ogrodzie, to moja cała gimnastyka. Więc rozumiesz...

- A skoro mowa o ogrodzie... Wracajmy już może, napijemy się tam herbaty. Mam parę pomysłów, jak go upiększyć, i chciałbym poznać twoją opinię na ten temat.

Ośmielona jego zapewnieniem, że nigdy nie podrywa kobiet bez zachęty z ich strony, Liz nie widziała podstaw do obaw. Mimo to czuła się odrobinę niepewnie – być może dlatego, że Cam okazał się

wspaniałym kompanem.

Nie ufała sobie.

Kiedy dojechali do domu, powiedział:

- Posiedź chwilę, pójdę otworzyć garaż.

Otworzył obite blachą drzwi i rozsunął je. Wcześniej, widząc, ile Cam potrafi zjeść, zastanawiała się, jak to możliwe, że zachował tak zgrabną sylwetkę. W garażu spostrzegła rower górski i półkę z kilkoma parami cięż-

kich butów turystycznych. Nim zamknął garaż, otworzył jej drzwi z tarasu do domu. Czekając, aż zaparzy kawę, zeszła do ogrodu i usiadła na drewnianej ławeczce w pobliżu kęp lawendy. Lawenda właśnie zakwitła i uwijały się nad nią roje pszczół.

Cam zszedł po schodkach, niosąc składany stoliczek. Niedługo potem pojawił się znów z tacą. Obok dzbanka z kawą i filiżanek stały dwa kieliszki i butelka likieru. Na jej widok Liz poczuła się niepewnie.

- Muszę zaraz iść - zakomunikowała. - Co chciałbyś zmienić w ogrodzie?

--Do czego tak ci się spieszy? - odpowiedział pytaniem. - Czemu nie mielibyśmy trochę poleniuchować? - Zerknął na zegarek. - Jest dopiero po trzeciej.

- Chcę wpisać do komputera wszystko, o czym mówiliśmy na temat twojej strony internetowej.

- Prześlę ci kopię swoich notatek. Mogę je wysłać w formie załącznika, chyba że traktujesz takie maile jak seks bez zabezpieczenia?

Wiedziała, że uważa ją za pruderyjną, i może istotnie taka była, ponieważ nawet po tak niewinnym żarciku czuła się zażenowana. Zmusiła się jednak do zachowania spokoju.

- Nie otworzyłabym załącznika przesłanego przez kogoś nieznanego. Jestem jednak pewna, że twój komputer ma skuteczne zabezpieczenie przed wirusami.

- Ma, ale na ile skuteczne, tego nie wiem. Hakerzy są pomysłowi, szybsi od firm sprzedających programy antywirusowe.

Nalał kawę. Postawił filiżankę przed Liz i sięgnął po likier.

- Dla mnie nie, dziękuję.

- Nie lubisz likieru w ogóle czy tylko tego konkretnego gatunku?

- Nigdy go nie próbowałam, ale nie powinnam już pić alkoholu. Rozboli mnie głowa... Proszę, nie zmuszaj mnie.

- Nie miałem takiego zamiaru. - Odsunął kieliszek od filiżanki Liz.
- Reagujesz tak nerwowo... Podejrzewasz, że sprowadzam przyzwoite kobiety do ogrodu i upijam je mocnym likierem w wiadomych celach?

Liz chwyciła pasek torby i zerwała się na równe nogi.

- Jeśli masz zamiar nabijać się ze mnie – powiedziała ze złością - to idę do domu... już.

Była w połowie drogi do schodków, gdy przytrzymał ją za łokieć. Odwróciła się do niego zirytowana.

- Robisz z igły widły. Żartowałem.

- Wcale mnie to nie bawi!

I nagle, gdy spotkali się wzrokiem, wyparowała z niej złość, ustępując miejsca nieznanemu uczuciu. Przez długą, pełną napięcia chwilę patrzyli na siebie. Cam przestał się uśmiechać, puścił jej rękę.

- Usiądź - powiedział spokojnie. - Wypij kawę i porozmawiajmy o ogrodzie.

Oszołomiona i zdezorientowana własnymi odczuciami wróciła na ławeczkę, a Cam, jakby nic się nie stało, zaczął jej przedstawiać swoje pomysły. Słuchała, zmuszając się do skupienia.

- Kiedy byłem tu ostatnio, uczestniczyłem w przyjęciu w ogrodzie, którego właściciele zrobili ciekawy użytek z dużego lustra. Ustawili je w taki sposób, że stwarza wrażenie bramy do drugiego ogrodu. Jak myślisz, czy udałoby się zrobić tutaj coś podobnego?

Liz upiła łyk kawy.

- Powinieneś najpierw poeksperymentować z małym lustrem. Prawie co sobota jeżdżę na targ do Benimoro. Pewnie udałoby się dostać tam odpowiednie lustro za nie- duże pieniądze.

- Świetnie.

Gdy Liz zaczęła się żegnać, nie próbował jej zatrzymać. Weszła jeszcze tylko na chwilę do domu, żeby pożyczyć najnowsze angielskie gazety, które Cam kupił na lotnisku.

Kiedy Liz skręcała w króciutką alejkę łączącą ulice, prawie wpadła na znaną jej z widzenia kobietę, która trzymała w ręku dużą torbę z maleństwem. Ostatnimi czasy często noszono w ten sposób niemowlęta. Wiedziała, że dziewczynki rozpoznaje się w Hiszpanii po kolczykach, które zakłada się im zaraz po narodzeniu. Często niemowlęta wydają się piękne jedynie ich rodzicom i dziadkom, ale ten chłopczyk był naprawdę prześliczny. Miał duże ciemne oczy i czarną czuprynkę. Gdy Liz delikatnie dotknęła jego mięciutkiego jak płatek policzka, odczuła nagły smutek. Zapanowała nad sobą, ale w domu popłakała się. Być może odreagowywała w ten sposób również spotkanie z Camem, ale przede wszystkim przygniotła ją świadomość, że za kilka lat będzie za późno, by mieć dziecko.

Chciała dziecka dwa lata po ślubie z Duncanem, chociaż jemu niespecjalnie na rym zależało. Gdy miała dwadzieścia pięć lat, poddała się licznym badaniom. Za radą lekarza badaniom poddał się też Duncan, który okazał się bezpłodny. Jedynym rozwiązaniem wydawała się adopcja, jednak Duncan nie wyraził na to zgody.

Liz otarła oczy i już, już brała się w garść, gdy ktoś zapukał. Spodziewała się sąsiadki z naprzeciwka, tymczasem na progu stał Cam.

- Zapomniałaś zabrać szal...

- Dziękuję. Przepraszam za kłopot. Bardzo, bardzo dziękuję.

Czy rozmazał się jej tusz? Czy Cam domyślił się, że płakała? Zaczzerwieniona, zamknęła drzwi.

Cam wrócił do siebie, zastanawiając się nad przyczyną smutku Liz. Nie wydawała mu się osobą skłoną do płaczu. Był też pewien, że jej nastrój nie miał nic wspólnego z chwilą gniewu w ogrodzie.

Doprowadzić ją do tego

mogło wyłącznie coś znacznie istotniejszego, a poza tym, kiedy się rozstawali, była spokojna.

Zapamiętał, że kiedy przy lunchu spytał ją o pracę w Anglii, odpowiedziała, że miała szansę zostać szefową pisma. „Ale potem...”
- powiedziała i zamilkła, by zacząć od nowa: „Przyszedł moment, gdy uświadomiłam sobie, że...”

„Ale po śmierci mego męża...” - to zapewne chciała powiedzieć, lecz zmieniła zamiar.

Cam nigdy nie czuł się naprawdę zakochany. Nie zapomniał jednak, jak zagubiony był jego dziadek po odejściu babci. Miał dość

wyobraźni, żeby sobie uzmysłowić, jakim strasznym ciosem okazała się dla Liz śmierć męża. Była jednak za młoda i za ładna, żeby żyć samotnie. Wyczuł, że jest spragniona seksu, choć starannie to ukrywała.

Coś między nimi zaiskrzyło, rozpoznał wzajemne pożądanie. Jednak Liz, przytłoczona żalobą, żyjąc przez cztery lata jak zakonnica, mogła zapomnieć, co to jest fizyczne zauroczenie.

Jeden ze starożytnych filozofów, chyba Arystoteles, twierdził, że istotą ludzką kierują trzy podstawowe instynkty - głód, pragnienie i pożądanie. Liz uznawała to ostatnie za coś gorszego, o ile nie łączyło się z miłością. Cóż, przez sekundę czy dwie pragnęła go, a on jej. Nie miał zamiaru tego wykorzystać. Nie miesza się interesów z flirtem, a Liz Harris w swoich trzech rolach - opiekunki ogrodu, nadzorca sprzątaczkii i projektantki jego strony internetowej - była zbyt cennym nabytkiem, żeby zdecydował się na tak ryzykowne posunięcie. A jednak byłoby wspaniale, gdyby za jego sprawą wróciła do życia, gdyby w jej smutnych błękitnych oczach zabłysła znów radość. Jednakże, przynajmniej w obecnej fazie znajomości, ważniejsze było pozyskanie jej przyjaźni.

Dzień po wyjeździe Cama Liz wybrała się na spacer. Chociaż niebo było czyste, zrobiło się chłodniej. Góry rysowały się ostrzej niż przy cieplej pogodzie. Przy pewnym oświetleniu poszczególne szczyty zlewały się w masyw, ale bystre oko dostrzegłoby ich aż siedemnaście. Liz zaczynała już zapamiętywać je. z kształtu i nazwy.

Ze ścieżki, jaką szła, nie widać było jej domku, natomiast willę Cama miała jak na dłoni. Ciekawe, kiedy Cam znowu przyjedzie... Czy odezwie się pierwszy, czy też poczeka, aż ona sama się z nim skontaktuje?

Po tym, jak odniósł jej szal, już się nie widzieli. Po- zegnał się krótkim mailem. Gdy czytała jego słowa, był w drodze na lotnisko w Walencji. Do tej pory nie wyzbyła się silnego uczucia, jakiego doświadczyła w ogrodzie, gdy przytrzymał ją za rękę. A przecież jeszcze niedawno Cameron Fielding drażnił ją. Jak to możliwe, by w parę sekund niechęć przemieniła się w pulsujące podniecenie? Nie podobało jej się, że straciła kontrolę nad sobą. Mogłaby nie oprzeć się Camowi, gdyby... Przyrzekła sobie zrobić wszystko, by następne spotkania miały czysto formalny charakter.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

En la batalla de amo, el que huye es el vencedor.

W zapasach miłosnych zwycięża ten, kto umyka.

Gdy po miesiącu Cam znów zawitał do wioski, dolina zmieniła wygląd. Mocny zachodni wiatr prawie ogołocił winorośle z liści. Część starych pędów wycięto. Spomiędzy krzewów wlatywały małe hałaśliwe zięby. Podczas codziennych spacerów Liz zauważała też przelatujące czaple.

Zawiadamiając o swoim przyjeździe dobę wcześniej, Cam dodał w post scriptum:

*Wpadłem na pewien pomysł.
Chciałbym go z Tobą jak najszybciej omówić.*

Liz napracowała się przy projektowaniu strony internetowej Cama, teraz była ciekawa jego reakcji.

Tego wieczoru, gdy miał przyjechać, wybrała się na ósmą na angielskojęzyczny film wyświetlany w kinie w Gata de Gorgos, miasteczku położonym bliżej morza. Lubiła chodzić do kina, ale tym razem zależało jej głównie na tym, żeby zniknąć z domu na wypadek, gdyby Cam zatelefonował i zaproponował spotkanie.

Chociaż w hiszpańskich dużych miastach zasiadano do kolacji o dziesiątej wieczorem, a ulice pełne były przechodniów jeszcze o północy, w Valdecarrasca chodziło się spać wcześnie. Kiedy wieczorem jechała przez

wioskę, rynek był pusty, a wszystkie domy przy głównej ulicy miały opuszczone żaluzje.

Nastawiła wodę na herbatę i przejrzała maile. Była wśród nich wiadomość od Cama:

Jeśli jesteś wolna jutro rano, czy mogłabyś zajść do mnie o dziesiątej?

Liz odpowiedziała twierdząco i wyłączyła komputer.

Rano zjadła śniadanie w szlafroku, obłożona słownikami, czytając stroniczkę hiszpańskiej powieści z regału Cama, potem poszła się ubrać. Co włożyć? - zastanawiała się. Dżinsy i sportową koszulkę, czy też może kostium? Przejrzała zawartość szafy i zdecydowała się na kompromis: gabardynowe spodnie i ciemnoniebieski kaszmirowy sweterek. Na szyję zarzuciła szaroniebieską apaszkę, przewiązując ją nad lewym ramieniem.

- Witaj! - Cam otworzył, gdy tylko zapukała.

- Dzień dobry - odparła chłodno, niespiesznie wchodząc do holu.

- Kawa już się parzy. - Przepuścił ją przed sobą do kuchni. -

Dziękuję za wiktuały w lodówce. Pieniądze, które ci jestem winien, są tam. - Leżały na kuchennym blacie, gdzie zostawiła rachunek z supermarketu.

- Dziękuję. - Zorientowała się od razu, że pieniędzy jest więcej, niż wydała, i wyjęła z torebki portmonetkę. - Zaraz oddam ci resztę.

- Nie ma mowy. Zapomniałaś doliczyć sobie za benzynę i stracony czas.

- Nie zapomniałam, tylko do głowy mi nie przyszło, że można brać pieniądze za jedno lub drugie – odparła stanowczo, kładąc resztę na

blacie. - I tak robię zakupy dla siebie. Żaden problem wrzucić do koszyka parę rzeczy dla ciebie.

- W porządku. - Spojrzał na nią uważnie. - Ale ile kosztowało to ogromne lustro, które mi kupiłaś?

- Niedużo. Jeśli ci nie będzie odpowiadało, mogę je zabrać.

- Jest dokładnie takie, jak chciałem. Wspaniale je ustawiłaś. Czy ktoś ci pomógł przy transporcie?

- Roberto, taki jeden facet, który mieszka przy drodze. Zastanawiałam się, czy dać mu na piwo, ale zrezygnowałam. Jeszcze by się obraził.

- Postawię mu drinka i podziękuję osobiście, kiedy będę w barze.

- Do którego baru chodzisz?

- Byłem w obu. Od hałasu mogą człowiekowi popękać bębunki, bo właściciele nigdy nie wyłączają telewizorów, ale plotki, jakie się tam słyszy, są czasem bardzo zajmujące. Większość cudzoziemców o tym nie wie, lecz w naszej wsi politykuje się, i to zdrowo.

- Zazdroszczę ci, że znasz dialekt walencjański i płynnie się nim posługujesz. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek doszła do takiej wprawy. A jeśli nawet, to tutejsze kobiety raczej nie korzystają z barów. Starsze przesiadują razem przed swoimi domkami i szyją.

- Tęsknisz za towarzystwem w twoim wieku?

- Nie, wcale. Jest tutaj mnóstwo kół zainteresowań prowadzonych przez imigrantów. Gdybym chciała, mogłabym codziennie bywać na rozmaitych spotkaniach, ale należę jedynie do klubu komputerowego.

- Każdemu potrzebne jest towarzystwo. Czy w tym twoim klubie jest przyjemnie?

- No wiesz... tam chodzą przede wszystkim tak zwani prawdziwi mężczyźni - odpowiedziała, nim przyszło jej do głowy, że takie określenie może bardzo rozbawić kogoś tak męskiego jak Cam.

- Nie rozumiem.

- Hm, jak ci to wytłumaczyć? Mężczyźni mają słabość do komputerów. Ja po prostu chcę posługiwać się komputerem sprawnie, jak na przykład innym sprzętem gospodarstwa domowego. Jeśli nie działa, wolę wezwać kogoś z serwisu, zamiast dociekać przyczyn awarii.

- Coś mi się wydaje, że panowie z tego twojego klubu chętnie by ci pomogli, ale i u nas w wiosce są na pewno młodzi ludzie, którzy znają się na komputerach. Zapytaj Alicie... Powinna znać jakiegoś rozmówianego w tej dziedzinie nastolatka... Wypijemy kawę na tarasie?

Gdy wyszli na zewnątrz, zobaczyła, że wystawił już dwa fotele i stoliczek.

- Pewnie wolisz siedzieć w cieniu, ale ja po całym tygodniu w Londynie nie mogę się nacieszyć słońcem - powiedział. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zdejmę koszulę?

- Skądże znowu - odparła, ale gdy rozpiął guziki, odwróciła wzrok.
- Bardzo jestem ciekawa twojego pomysłu. Ma coś wspólnego ze stroną internetową? Zgadłam? Zamieniam się w słuch.

- Mniej więcej. Pomysł ściągnąłem z reklamy telewizyjnej. Nie pamiętam, jaki produkt reklamowano, ale pokazano przyjęcie, w którym uczestniczyły znane osobistości, chyba Marylin Monroe i Albert Einstein.

- Nie przypominam sobie. Oglądałam jednak reklamę samochodu, którym kierował dawno zmarły Steve McQueen. Pomyślałam wtedy, że to raczej upiorne wskrzeszać kogoś w taki sposób, ale przecież technicznie wszystko jest możliwe.

- Upiorne - przytaknął skwapliwie Cam. - Mój pomysł nie polega na ożywianiu zmarłych sław. Przyszło mi natomiast do głowy, że można by przeprowadzić wywiady z sześcioma czy ośmioma interesującymi ludźmi

na ten sam temat, wzbogacić to ilustracjami, odsyłaczami i może klipami dźwiękowymi. Program nazywałby się „Obiady u Cama Fieldinga”, a każdy odcinek miałby odrębny tytuł.

- Świetny pomysł! Nietrudny w realizacji. Zacząłeś już tworzyć listę gości, przemyślałeś tematy dyskusji?

- Jeszcze nie. Najpierw chciałem się dowiedzieć, czy twoim zdaniem, da się to zrobić. Sprawdziłem też, czy ktoś nie wpadł na podobny pomysł, ale chyba nie.

- No tak, mógłbyś zostać oskarżony o plagiat - przyznała Liz. - Jednak postąpiłbyś rozsądniej, zatrudniając profesjonalistę. Poradziłby sobie na pewno lepiej niż taki amator jak ja.

- Mam wrażenie, że większość tak zwanych profesjonalistów z tej branży uwielbia krzykliwą tandetę - odparł Cam. - Czy przyniosłaś swój projekt?

- Tak.

- To dobrze. Kiedy wypijemy kawę, możesz mi zrobić pokaz na moim laptopie. Czasami korzystam z niego na dworze, ale tym razem chyba lepiej będzie, jeśli wejdziemy do domu.

Dziesięć minut później wszystko było gotowe do prezentacji.

Liz przywykła do korzystania z myszki, tymczasem do laptopa Camma podłączony był tablet i chociaż miała z nim do czynienia w klubie komputerowym, nie potrafiła posługiwać się nim zbyt sprawnie.

- Jak zaraz zobaczysz - powiedziała - zaprojektowałam makietę. Jeżeli coś ci się spodoba i będziesz miał ochotę to zachować, wypełnimy odpowiednią przestrzeń tekstem...

Myślała, że Cam przesunie monitor tak, żeby znalazł się na wprost niego. Tymczasem położył rękę na oparciu jej krzesła i zaczął studiować makietę.

- Jeśli pozwolisz, zaparzę więcej kawy - powiedziała, czując, że nie wytrzyma dłużej tej bliskości, a obejrzenie całości projektu mogło zabrać Camowi dobrych parę minut.

- Jasne, idź. - Zerknął na nią w taki sposób, że zastanowiła się, czy nie podejrzewał prawdziwej przyczyny jej umknienia.

Z bezpiecznej odległości, sponad kuchennego blatu widziała, jak bardzo pochłonęło go to, co oglądał. Mijały minuty. W pewnej chwili Liz poczuła, że aż kurczy się z napięcia. Tak wiele zależało od tego, czy projekt mu się spodoba. Jeśli tak, mogło to oznaczać dla niej początek nowego etapu w życiu. Jeśli nie - wiele godzin pracy poszło na marne. Nie, niezupełnie na marne, sprostowała w myślach. Ta praca dawała jej radość.

Woda zagotowała się. Liz zrobiła dwie kawy, zaniósła filiżanki na stół. Cam podziękował, nie odrywając oczu od ekranu.

- Nie sądzę, żeby trzeba to było ulepszać. Znakomita robota, dużo lepsza, niż się spodziewałem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. No i co teraz? Jak to dalej widzisz?

- Sądzę, że trzeba zarejestrować twój dotcom, a potem zdecydować, kogo chcesz zaprosić na swoją stronę.

- Mogłabyś załatwić rejestrację?

- Owszem, jeśli mi zaufasz i podasz numer karty kredytowej.

- Hm... Bo ja wiem... - Cam zmarszczył brwi.

Przez chwileczkę myślała, że naprawdę się zawahał. Nagle na jego twarzy pojawił się ów niebezpiecznie czarujący uśmiech, który sprawiał, że z jej pulsem zaczynało się dziać coś dziwnego.

- Podałbym ci bez najmniejszych obaw wszystkie swoje dane. Świat pełen jest cwaniaków, ale ty do nich nie należysz. Zaraz ci wszystko zapiszę... Proszę. A teraz powiedz mi, kogo ty na moim miejscu zaprosiłabyś do dyskusji.

Wymieniła nazwiska i uzasadniła wybór.

- W porządku, akceptuję. Czy również tę sprawę mogę ci powierzyć?

- Naturalnie.

- W takim razie pozostało nam do ustalenia tylko jedno - stawka. Dowiadywałem się tu i ówdzie...

Zaproponował miesięczne honorarium, dwukrotnie wyższe od tego, na jakie liczyła.

- Z uwagi na to, że przedsięwzięcie jest dla nas obojga eksperymentem, umówmy się na sześć miesięcy i zobaczymy, co z tego wyniknie. Po półroku będzie nam łatwiej zawrzeć sensowną, bardziej formalną umowę. Czy zadowala cię taki układ?

- Oczywiście.

- W takim razie uściśnijmy sobie dłonie.

Mocny uścisk jego długich palców przypomniiał Liz, że przypieczętowała w ten sposób porozumienie z mężczyzną, który dawał jej wprawdzie nieoczekiwaną szansę przyzwoitego zarobku i rozwoju zawodowego, lecz zarazem hołdował wartościom i zasadom odbiegającym daleko od jej własnych.

- Myślę, że powinniśmy odpowiednio uczcić początek naszej współpracy. Proponuję wspólną kolację - powiedział Cam.

W Liz natychmiast obudziła się czujność.

- Niestety, jestem już umówiona - skłamała.

- To może w czwartek?

- We czwartki chodzę na konwersacje z hiszpańskiego. - Zajęcia rozpoczynały się o szóstej i trwały tylko godzinę, ale nie uznała za stosowne powiedzieć tego Camowi. Rzuciła tylko nonszalancko: - Myślę, że oblewanie tego teraz byłoby przedwcześnie.

- Może i masz rację.

Zegar na wieży zaczął po raz drugi wybijać dwunastą.

- Co mu się stało? - zapytała szybko, byle tylko zmienić temat.

- Nie wiem. Muszę popytać ludzi.

- Alicia nie będzie miała o tym pojęcia. Na przykład zupełnie nie zna nazw roślin. Pytałam ją o to pnącze o żółtych kwiatach, które porasta mur przy składzie drzewa, ale nie umiała mi odpowiedzieć.

Cam zaskoczył ją.

- Łacińska nazwa tej rośliny to *senecio angulatus*. Pnącze pochodzi z Afryki Południowej. Wiem to od znajomego botanika. Przejdę się z tobą do rogu - zaproponował, widząc, że Liz sięga po torebkę. - Muszę wpaść do banku.

Wieczorem wykręcił numer Liz. Gdyby podniosła słuchawkę, zamierzał przeprosić po hiszpańsku i wyłączyć się. Jednakże, tak jak się spodziewał, numer był zajęty. Liz zatem siedziała w domu, czyli wcale nie była z nikim umówiona...

Leżał już w łóżku i czytał, gdy zadzwoniono do niego z Londynu. Chwilę słuchał, natychmiast po zakończeniu połączenia zadzwonił na lotnisko w Walencji, żeby zarezerwować miejsce w najbliższym samolocie odlatającym do Amsterdamu, gdzie miał na niego czekać bilet powrotny. Nie musiał się pakować. Całe lata żył na walizkach. Tak miało być do końca roku, potem jego kontrakt wygasał. Wreszcie będzie wolnym człowiekiem. Na- stawił budzik, zgasił światło i natychmiast zasnął.

Rano, przeglądając pocztę, Liz przeczytała mail od Cama:

Muszę jechać. Nie wiem dokładnie, kiedy wrócę. Będę z tobą w kontakcie. Adios. Cam.

Powinna odczuć ulgę, jednak ogarnął ją smutek. Naszła ją myśl, jakie by to było straszne, gdyby Camowi, i to właśnie teraz, gdy zamierzał zmienić pracę, przydarzyło się coś złego.

Minał tydzień bez żadnej wiadomości od niego. Pewnego przepięknego poranka, zamiast przejść się jak zwykle wśród winnic, skręciła w ścieżkę wiodącą w góry. Niegdyś chodziły tędy muły, a dziś jedynie zagorzali turyści i botanicy. Wspiwała się godzinę, a potem usiadła na skałce i podziwiała widoki. W drodze powrotnej zagapiła się, straciła równowagę i upadła. Gdyby nie podparła się ręką, pewnie mocno by się poturbowała. Jednak ręka mocno bolała. Liz dźwignęła się z trudem i zobaczyła, że nadgarstek puchnie w oczach.

Gdy dotarła na dół, ból stał się nie do zniesienia. Miejscowy chirurg przyjmował jedynie rano. Mogła poprosić o pomoc w aptece, ale czuła, że musi najpierw napić się herbaty albo łyknąć odrobinę brandy.

Skręciła w swoją uliczkę i nagle ujrzała Cama. Rozmawiał z jej sąsiadką z naprzeciwka. Prawie popłakała się ze szczęścia.

- Jesteś - szepnęła, zmuszając się do uśmiechu.
- Twoja sąsiadka powiedziała, że wyszłaś parę godzin temu... Ojej!
- Zauważył jej zboląłą minę. - Liz... co ci jest?
- Chyba złamałam nadgarstek. Czy mógłbyś to wyjaśnić w aptece?
- Apteka aż do wpół do piątej będzie zamknięta. Pojedziemy do szpitala. Trzeba zrobić prześwietlenie. Ale najpierw przyłożymy zimny okład. Chodźmy do mnie.
- Ale...
- Dajże spokój. Jak to się stało?
- Zwyczajnie się zagapiłam... Kiedy wróciłeś?

- Dosłownie przed godziną. I całe szczęście. Ciężko by ci było prowadzić samochód.

- Wezwę taksówkę Benimoro. Zawiozą mnie do Denii.

- Nie. Potrzebny ci tłumacz.

- Głupio mi, że zajmuję ci czas.

- Nie ma o czym mówić.

Pół godziny później wyruszyli do szpitala. Liz czuła się trochę lepiej. Po dwóch tabletkach paracetamolu ból osłabł. Z trójkątnej chusty znajdującej się w dobrze zaopatrzonej apteczce Cam zrobił temblak, a na bardzo spuchnięty nadgarstek przyłożył zimny kompres.

W szpitalnej izbie przyjęć Cam wyjaśnił, co się stało. Spisano dane Liz i obiecano, że zaraz przyjdzie lekarz. Niemal od razu Cam pograżył się w rozmowie z siedzącą obok kobietą. Liz rozumiała co dziesiąte słowo.

Być może, pomyślała, właśnie ta niezwykła umiejętność słuchania różnych ludzi sprawiła, że był tak znakomitym dziennikarzem.

Upłynęła godzina, nim wreszcie poproszono Liz do sali zabiegowej. Okazało się, że z powodu opuchlizny palców nie da się zdjąć obrączki i trzeba ją będzie przeciąć. Nie było to bolesne. Potem zrobiono prześwietlenie.

Dowiedziała się, że nie ma złamania, ale skręcenie jest poważne i trzeba założyć gips. Wreszcie, po trzech godzinach, mogła wrócić do poczekalni.

Cam gawędził z młodym mężczyzną w roboczym niebieskim kombinezonie. Na widok Liz Cam przeprosił swego rozmówcę i podszedł do niej.

- To tylko zwichnięcie - powiedziała. - Kazali mi przyjść na zdjęcie gipsu za dziesięć dni. Strasznie mi przykro, że musiałeś tak długo czekać.

- Nie dłużyło mi się. Facet, z którym rozmawiałem, pracuje w telekomunikacji. Zebrałem dzięki niemu interesujący materiał. Pewnie umierasz z głodu. Chodźmy coś zjeść i napić się kawy.

Kiedy pili kawę, Cam zauważył, że Liz nie ma obrączki. Domyślił się, że trzeba ją było przeciąć, nie skomentował tego jednak. Wiedział, że niektóre kobiety nigdy nie zdejmują obrączki, wierząc w przesąd, że mogłoby to spowodować nieszczęście. Liz nie wyglądała na tego typu osobę, lecz spotkał wielu na pozór zrównoważonych ludzi, którzy przy bliższym poznaniu ujawniali najróżniejsze dziwactwa.

- Co robisz w święta? - zapytał.

- Na Boże Narodzenie jadę do Anglii, do matki. Cemu pytasz?

- Bo ja spędzam je ze znajomymi w *casa rural*, niedaleko stąd. Wiesz, co to są *casas rurales*?

- W dosłownym tłumaczeniu: wiejskie domy. Ale dokładnie nie wiem. W naszej wiosce coś takiego prowadzi para Anglików.

- To niewielkie pensjonaty. Ten, w którym ja i moi znajomi zarezerwowaliśmy pokoje, prowadzi małżeństwo Francuzów. Dają wspaniale zjeść. Gdybyś nie miała nic lepszego do roboty, mogłabyś wybrać się z nami.

- Miło, że o tym pomyślałeś. Chciałabym... Nienawidzę londyńskiej zimy.

- Czy twoja mama żyje samotnie?

- Nie. Od kiedy jest z ojcem w separacji, dzieli dom z ciotką. Ojciec przeprowadził się na Florydę.

- Moi rodzice też się rozwiedli - odparł Cam. - Oboje zawarli nowe związki, mają dorosłe dzieci i wnuki. W kontaktach z rodzicami wyręczają mnie siostry. Kiedy jest się jedynakiem, więzi są zapewne silniejsze.

Przytaknęła, ale nie miała ochoty komentować jego wypowiedzi.

- A czy nie może zdarzyć się, że wezwą cię do pracy?

- W tym roku już nie. Mój kontrakt dobiega końca. Postawiłem sprawę jasno - w święta jestem nieosiągalny. A ty... kiedy lecisz do Londynu?

- 18 grudnia. Jadę na dwa tygodnie.

- Odwiozę cię na lotnisko.

- Nie, nie, dziękuję. Dość już dla mnie zrobiłeś. Pojadę autobusem albo może tą śmieszoną kolejką, która kursuje między Denią a Alicante.

- Chciałbym kupić w Alicante prezenty pod choinkę. Moglibyśmy wybrać się tam razem rano, pobuszować po sklepach i zjeść lunch. W samolocie nie uraczą cię zbyt wykwintną kolacją, to pewne.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie sądziłam, że mężczyźni zajmują się świątecznymi sprawunkami.

- Może inni nie, ale ja muszę. Byłaś już kiedyś w Alicante?

- Tylko przejazdem.

- W takim razie skorzystaj z okazji. Służę za przewodnika - odparł z uśmiechem. - Zgadzasz się pojechać ze mną?

- Dziękuję, bardzo dziękuję.
- No, to świetnie. Jesteśmy umówieni.

Wieczorem, grzejąc się przy gazowym piecyku, Liz marzyła o tym, żeby nie mieć rodzinnych zobowiązań. Wolałaby spędzić święta z Camem i jego znajomymi. Bardzo ją też ciekawiło, dlaczego jej to zaproponował. Przez uprzejmość? Im dłużej go znała, tym większą stanowił dla niej zagadkę. Może gdyby nie nasłuchiwała się o nim tyle złego, byłoby jej łatwiej wyrobić sobie własną opinię na jego temat.

Przypomniała sobie swoje ostatnie zbliżenie z Duncanem, spojrzała na palec bez obrączki i westchnęła. Obrączkę może i dałoby się naprawić, ale nie zależało jej na tym.

Przez cały następny tydzień Cam wpadał do niej codziennie. Dowiadywał się, czy nie trzeba w czymś pomóc. Po upływie dziesięciu dni Liz sama zdjęła gips. I właśnie wtedy Cam uraczył ją następującą opowieścią:

- Odradzam samotne górskie wycieczki. W tym roku pewna malar-ka przeżyła nieprzyjemne chwile, gdy wybrała się ze sztalugą na Montago. Opowiadała mi, że raptem pojawił się jakiś facet i zaczął się przed nią obnażać. Moja znajoma jest starsza od ciebie o dwadzieścia lat, ale śmiertelnie się wystraszyła i uciekła do samochodu. Chyba niepotrzebnie wpadła w taką panikę. Ekshibicjoniści zazwyczaj nie stanowią zagrożenia dla kobiety, ale widok jest nie do pozazdroszczenia... Można też natknąć się na *toros...*

- Ale chyba nie te, które potem walczą na arenie!
- Tamte hoduje się w południowej Hiszpanii, a nie tutaj!

- Wypas najwartościowszych stad, z których wybiera się byki do walk, prowadzony jest na południu - przytaknął Cam. - Jednakże podczas wielu lokalnych uroczystości urządzone są gonitwy byków. Pewnie wiesz, jak to wygląda. Widziałem te byki w górach.

- O, Boże, straszne. Nie miałam o tym pojęcia. Wolałabym już spotkanie z ekshibicjonistą niż z taką bestią.

Cam roześmiał się.

- Bydło nie pasie się tu zupełnie dziko, na ogół dogląda go pasterz, ale osobiście nie przeszedłbym środkiem stada. Krowy, jeśli są z nimi cieleta, potrafią być groźne.

- A co byś zrobił, gdybyś szedł drogą pod górę, a one by właśnie schodziły?

- Trzeba się schować i poczekać, aż przejdą... Jeśli chcesz pochodzić po górach, zapisz się do klubu turystycznego.

Tej nocy Liz miała dziwny sen. Deborah namówiła ją w nim, żeby pojechały pociągiem na świąteczne zakupy do Madrytu. W Madrycie oświadczyła, że zdobyła bilety na corrida, Liz nie miała ochoty iść, ale jakoś dała się uprosić. Gwiazdą pokazów okazał się słynny torreador El Macho. Wyszedł na arenę, podszedł do bandy i patrząc na Liz, powiedział: „Jesteś tu najpiękniejszą kobietą. Jeśli przyniosę ci uszy byka, to czy dostanę w nagrodę pocałunek?”. Nim zdążyła odpowiedzieć, obudziła się. Nie mogła potem długo usnąć, gdyż torreadorem ze snu był Cam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Amar y saber, todo junto no puede ser.

Miłość i mądrość nie idą ze sobą w parze.

W dniu jej odlotu do Anglii pojechali do Alicante nowym mercedesem. Poprzednio Cam wynajmował samochody, ale ponieważ zamierzał spędzać w Hiszpanii więcej czasu, kupił własne auto.

- Lubię tę drogę, bo są piękne widoki - powiedział. - Przejedziemy nad korytem wyschniętej rzeki, autostradę zbudowano na wysokich słupach. To prawdziwy archi- tektoniczny majstersztyk. Muszę pamiętać o tym, żeby w lutym, gdy zakwitną migdałowce, zrobić tam zdjęcie do swojej strony internetowej...

Miasto pojawiło się na horyzoncie prędzej, niż Liz się spodziewała.

Cam wyminął wysadzany palmami bulwar i skręcił do centrum. Zalane słońcem Alicante pod bezkresnym błękitnym niebem nie przypominało ani trochę Londynu w grudniu. Mimo to dla Hiszpanów nastąpiła zima.

Mężczyźni ubrani byli w palta, a wiele kobiet w futra.

Cara zaparkował na podziemnym parkingu należącym do El Corte Ingles, jednego z najsłynniejszych hiszpańskich domów handlowych.

- Pewien dziennikarz zajmujący się modą powiedział mi - zagadnął, gdy wsiedli do windy - że teraz ceni się niemieckich projektantów. Masz bardzo ładny kostiumik - pochwalił, zerkając na jej prosty żakiecik i spódnicę z wełenki. - Gdzie go szyto?

- W Niemczech.

Doskonale pamiętała, jak bardzo Duncan nie znosił sklepów. Wychowany przez matkę, uznawał zakupy za rzecz kobiet. Ciekawiło ją, jak będzie się zachowywać Cam. Chodzili po centrum handlowym aż do lunchu. Cam czuł się swobodnie nawet w salonach mody, gdzie kupował prezenty dla kobiet. Nie pytał Liz o radę, wiedział, czego szuka.

O wpół do drugiej oddali zakupy do przechowalni i poszli pospacerować po bulwarze.

- Jesteś znużona? Powinniśmy byli zrobić sobie przerwę na kawę - powiedział. - Mamy zamówiony stolik w restauracji dopiero na drugą. Napijmy się wina gdzieś tu, na dworze.

- Wcale nie jestem znużona. Takie łązenie to dla mnie duża przyjemność... Jaki piękny! - zachwyciła się chodnikiem.

- Czerwony, kremowy i czarny to kolory tego miasta. A wzór imituje fale... Chodź szybko. Widzę wolny stolik. - Chwycił ją za rękę i pociągnął do pobliskiej kawiarenki.

Gdy kelner przyjął zamówienie, zaczęli rozmawiać.

Cam zapytał, gdzie mieszka jej matka, a gdy podała mu adres, powiedział, że nie zna tej okolicy.

- Nie ma czego żałować. To nudne przedmieście.

- Dla dziennikarza nic nie jest nudne.

- Nie znasz naszej uliczki - odrzekła sucho Liz.

Spojrzał na nią uważnie.

- Ale ty... ty wyrwałaś się stamtąd. Może opowiesz mi jakąś ciekawą historię?

Kelner przyniósł szampana i małe *tapas*.

- Nie ma o czym opowiadać. Wyjazd do Hiszpanii nie jest niczym niezwykłym.

- Tak, ale większość imigrantów to ludzie starzy. Dla kobiety w twoim wieku taka decyzja wiązała się ze sporym ryzykiem. - Uniósł kieliszek. - Wypijmy za Nowy Rok i za to, co nam przyniesie przyszłość.

- Za przyszłość! - powtórzyła i upiła łyk szampana. Ciepłe zimowe słońce, lekka morska bryza poruszająca liśćmi palm, różnojęzyczny gwar, piękny mężczyzna, z którym siedziała przy stoliku - wszystko to tworzyło niezapomnianą aurę.

- Lubisz *boquerones*? - zapytał Cam, podsuwając jej talerzyk z marynowanymi anchois.

- Bardzo. Lubię też *albóndigas*. - Zerknęła na małe pulpeciki w sosie. - W porównaniu z hiszpańskimi przystawkami nasze chipsy i orzeszki wydają się okropnie nudne.

W drodze do restauracji Cam wyjął z kieszeni zwinięty jasnożółty krawat.

- Lepiej go włożę. Tutaj w restauracjach obowiązuje elegancki strój.

Obserwując jego długie palce, Liz odczuła podniecenie. Czytała gdzieś, że szampan jest afrodyzjakiem, ale przecież wypiła tylko jeden kieliszek.

Po posiłku trzeba było jechać na lotnisko znajdujące się na południowym krańcu miasta. Na parkingu Liz zapakowała prezenty dla rodziny do walizki. Cam odprowadził ją aż do samego wejścia.

- Pożegnajmy się tutaj. Może mnie nie być w domu, kiedy wrócisz. Powinienem cię odebrać...

- Tyle już dla mnie zrobiłeś... Jestem ci bardzo wdzięczna. Baw się dobrze z przyjaciółmi. Wesółych świąt! - Uśmiechnęła się i podała mu rękę. Cam nachylił się i ucałował Liz w oba policzki.

- Do widzenia, Liz. Uważaj na siebie.

Odprawiała go wzrokiem zdezorientowana i oszołomiona. Po-całunek na przywitanie i pożegnanie był w Hiszpanii czymś powszechnie praktykowanym. Wiele osób z imigranckiej społeczności przejęło ten zwyczaj. Jednak Liz czuła się nieco wytrącona z równowagi zachowaniem Cama.

Jej rodzice nie okazywali sobie czułości. Nigdy nie widziała, żeby się obejmowali. Również Duncan i jego rodzina nie gustowali w takich gestach. Liz zawsze brakowało serdeczności. Pragnęła czasami przytulić się do kogoś i być przytulana, lecz dostosowała się do stylu zachowania najbliższych. Tylko przy dziecku mogłaby dać upust nagromadzonej czułości.

Gdy przed wejściem na pokład samolotu piła kawę w barku, przypominały jej się inne odloty do Anglii. Pierwsze trzy, po urlopach z teściami, i ostami, kiedy przyleciała do Hiszpanii, żeby załatwić formalności związane z kupnem domku. Zwierzała się nieraz mężowi, że chciałyby polecieć gdzieś dalej, na greckie wyspy czy do Włoch. Duncan jednak był dusigroszem i uważał wspólne wakacje z rodzicami za dobrą okazję do zaoszczędzenia pieniędzy. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zamieszkać tu na stałe.

A teraz, siedząc w hali odlotów, Liz myślała o toaście, który wznieśli z Camem. Mijający rok był dla niej znaczący. Czy kolejny miał zmienić jej życie jeszcze bardziej? I czy na lepsze?

Matka i ciotka Liz były uzależnione od telewizji. Mały odbiornik w kuchni włączały jeszcze przed śniadaniem, a duży w pokoju grał, póki

nie położyły się spać. Codzienne oglądanie telewizji planowały niczym podróżnik przygotowujący się do wielkiej wyprawy.

Liz nie protestowała, ale doprowadzało ją to do szaleństwa. Zdarzało się, że podrywała się i uciekała na spacer, nawet jeśli pogoda była wstrętna.

W pierwszym tygodniu przebywania z matką i ciotką uświadomiła sobie, że sama też nie jest lepsza. Bez komputera i dostępu do Internetu czuła się fatalnie. Po paru dniach ogarnął ją taki marazm, że zdecydowała się kupić laptop. Ów kosztowny wydatek usprawiedliwiła potrzebami zawodowymi, znała jednak prawdę. Chodziło jej głównie o to, żeby móc odbierać ewentualne maile od Cama.

- Czy mogę podłączyć modem do gniazdka telefonicznego? - zapytała matkę. - Chyba że spodziewasz się ważnego telefonu...

- Jediną osobą, która do mnie dzwoni, jesteś ty. Ludzie widują się ze swoimi dziećmi raz do roku, a i to nie zawsze. Dawniej rodziny trzymały się razem.

Liz kusiło, żeby powiedzieć: „Wszystko to prawda, tyle że teraz, kiedy masz mnie przy sobie, nie kwapisz się do rozmowy. Bardziej interesuje cię życie twoich ulubionych bohaterów serialowych.

- To piękne, że ty i ciocia Sue jesteście sobie takie oddane - skomentowała oględnie.

- A co nam zostało? Ty wyniosłaś się do Hiszpanii, a synowie Sue prawie jej nie odwiedzają.

Kuzyni Liz mieli piątkę dzieci.

- Nie pomieścisz ich tu wszystkich, a im brak forsy na hotel... Nie mogłabyś czasem wybrać się do kogoś z wizytą? A w ogóle to przyjedź i pomieszkaj ze mną.

- Wiesz, że nie lubię latać samolotem. - Matka nagle spojrzała na zegar. - Ojej, pora na Oprah - ucieszyła się.
- Sue, rusz się! - zawołała od progu. - Zaraz będzie nasz ulubiony program.

Samolot do Hiszpanii odleciał z dwugodzinnym opóźnieniem, ale Liz wcale to nie zirykowało. Lubiła lotniska. Wylatywała z mokrego i mglistego Londynu, a w Alicante powitało ją słońce. Potem wsiadła w autobus do miasteczka oddalonego o dziesięć kilometrów od Valdecarrasca. Tam znów przesiadła się do taksówki. Jazda autobusem sprawiła jej radość. Za szybami migały przepiękne widoki gór, Morze Śródziemne i nadbrzeżne miasteczka.

Kiedy była u matki, Cam nie przesłał jej ani jednego maila. Czowała się tym zawiedziona. Obecnie najprawdopodobniej wyjechał. Ale bardzo stęskniła się też za swoim ogrodem, widokiem z okna, za tutejszą atmosferą. Podróż

do Anglii udowodniła Liz niezbitcie, że teraz jej dom znajduje się w Hiszpanii. Wyrywając się z szarego, nieciekawego przedmieścia Londynu, postąpiła słusznie. Nie miała już co do tego żadnych wątpliwości.

W skrzynce pocztowej umieszczonej przy drzwiach wejściowych był tylko jeden list. Liz włożyła go do kieszeni żakietu, otworzyła dom i przeniosła przez próg ciężką od książek walizkę. Potem od razu odsłoniła okno i spostrzegła na stole paczuszkę. Przez chwilę zastanawiała się, jakim cudem paczka mogła się tu znaleźć, i raptem przypomniała sobie o zapasowym kluczu, który dorobiła w Alicante i dała Camowi.

Opakowana w szary papier i oklejona taśmą paczka była dość ciężka. Liz odsłoniła parę warstw bibułki i jej oczom ukazała się mosiężna kołatka w kształcie kobiecej dłoni. Pochodziła najprawdopodobniej ze starego, wyburzonego domu.

Mam nadzieję, że Ci się spodoba. - napisał na przyklejonej z tyłu kołatki karteczce. - Jeśli tak, przymocuję ją, kiedy wrócę, 4 stycznia. Szczęśliwego Nowego Roku. Cam.

Wiadomość, że za trzy dni żaluzje w oknach *La Higuery* podniosą się, uradowała Liz jeszcze bardziej niż wspaniałe prezent.

W wiosce znajdowały się dwa sklepy, zbliżone charakterem do tych, które zapamiętała z dzieciństwa, i w których można było kupić ryż, mysz, mydło i powidło.

Właśnie dopiero w jednym z tych sklepików przypomniała sobie o kopercie, włożonej do kieszeni. List wydrukowany był na maszynie, ale nadawca podpisał się własnoręcznie.

Droga Liz (czy to nie nazbyt poufale?)

Cam opowiadał nam, jak wspaniale zajmiesz się jego ogrodem. Ja również jestem zapaloną ogrodniczką. 4 stycznia urządzamy przyjęcie dla przyjaciół i bylibyśmy zaszczytzeni, gdybyś zechciała wpaść. Obowiązują stroje eleganckie, ale bez przesady. Godz. 20.00. Jeśli nie możesz przyjść, zadzwoń. Do milego spotkania Leonora Drydens

Następnego dnia Liz wrzuciła karteczkę z podziękowaniem za zaproszenie do skrzynki państwa Drydensów. Zastanawiała się, w co się ubrać, więc zatelefonowała do Deborah, która doradziła jej odwiedzi-

ny w niedawno

otwartym sklepieniu w Denii. Zamożni imigranci, zamieszkali w osiedlach willowych na wybrzeżu, oddawali tam na sprzedaż rzeczy, które już im się znudziły.

- A może wybrałybyśmy się razem? – zaproponowała Deborah.

Wypad do miasteczka okazał się bardzo udany. Obie panie wynurzyły się ze sklepu z pełnymi torbami. Po lunchu, który zjadły w restauracji nad samym morzem, Deborah zasugerowała, żeby wracały inną drogą. - Nie widziałas jeszcze Montago. Z płaskiego szczytu rozciąga się przepiękny widok na morze - zachwalała.

Góra Montago, której podnóże obrastały wille, była głównym punktem widokowym tej części wybrzeża. Liz wydawało się, że można ją ominąć tylko w jeden sposób, jadąc szosą w głąb lądu. Okazało się, że jest jeszcze inna droga - stokami - łącząca Denię z sąsiednim miasteczkiem portowym. Javeą. Zastanowiło ją, czy Cam znał tę trasę i doszła do wniosku, że na pewno tak. Myślała o nim coraz częściej, tak często, że aż ją to drażniło'.

- Ciekawe, czy poznasz kogoś interesującego na tym przyjęciu - odezwała się Deborah, podjeżdżając wyżej wąską serpentyną. - Jeśli w tej okolicy są w ogóle jacyś ciekawi wolni faceci, to ja jeszcze takiego nie spotkałam. A wielka szkoda.

- Szukasz mężczyzny? - spytała Liz.

- Z całą pewnością nie fajtlapy, jakim był poprzedni. Nie mam nikogo na widoku - zakończyła kwaśno, zatrzymując samochód przy bocznej drodze poniżej szczytu. Droga prowadziła do latami morskiej. – Domyślam się, że z tobą, Liz, jest inaczej. Ciężko jest się otrząsnąć po śmierci partnera, gdy małżeństwo było udane. Ale, widzisz... mój związek zaczął się rozpadać już pod koniec miesiąca miodowego. Zaszłam jednak w ciążę i dlatego...

Liz lubiła Deborah i ceniła sobie tę znajomość. Jednakże nie miała ochoty wysłuchiwać jej zwierzeń ani dzielić się własnymi.

- Powolny rozkład małżeństwa jest być może boleśniejszy niż nagłe rozstanie - powiedziała. - Nie przeszkadza mi, że będę sama do końca życia. Lepiej żyć samotnie, niż związać się z kimś nieodpowiednim.

- Nie będę się spierać - odparta żywo Deborah. - Mam jednak nadzieję, że przybyto mi nie tylko lat, ale i oleju w głowie. Nie pozwolę już sobie złamać serca.

Popołudnie przed imprezą u Drydensów Liz spędziła na zabiegach upiększających. Luksusowo długa kąpiel w pianie, manicure, pedicure... Od czasu do czasu zerkała w kuchenne okno. O zachodzie słońca żaluzje w domu Cama były jeszcze opuszczone.

O szóstej skrzynka odbiorcza w komputerze była pusta. O siódmej Liz zajrzała do niej ponownie. Nic. Właściwie niby dlaczego Cam miałyby ją informować, że nie przyjedzie? Byli sąsiadami, łączyły ich interesy, ale nic więcej. Mimo to czuła się urażona. Przecież prawie trzy tygodnie temu pocałował ją na pożegnanie, a teraz nie dawał znaku życia.

Liz spojrzała na swoją kreację. Chociaż sukienka nie była nowa, kosztowała majątek. Miała firmową metkę słynnego niemieckiego projektanta. Liz ostrożnie rozpięła zameczek i przełożyła sukienkę przez głowę. Poczula, jak jedwabista tkanina opada i układa się na jej figurze. Kiedy przejrzała się w dużym lustrze, poczuła się inną kobietą.

Zegar na wieży kościoła wybijał właśnie ósmą, gdy zamknęła drzwi na klucz, otuliła się czerwonym szalem i ruszyła w stronę domu Drydensów.

W tym samym momencie Cam dojeżdżał do wsi. Był zmęczony, miał za sobą ciężki dzień. Prawdę mówiąc, marzył o wygodnym łóżku. Wiedział jednak, że Drydensowie zaprosili Liz, a ta nie знаła nikogo z ich towarzystwa. Czuł się więc w obowiązku zaopiekować nią.

Było wpół do dziewiątej, gdy zamknął garaż, a musiał jeszcze się ogolić i wziąć prysznic. Nawykł do szybkiego działania, więc po dwóch kwadransach wyszedł z domu. W Hiszpanii wielu cudzoziemców celowo spóźniało się na spotkania towarzyskie, uważając, że jest to zgodne z tutejszymi zwyczajami, ale Cam, z natury punktualny, lubił zjawiać się o umówionej porze i tego samego oczekiwał od swoich gości.

Wszedł do holu, zdjął wełniany szalik, rzucił go na dębową ławę i schodami poszedł na piętro. W salonie zebrało się około trzydziestu osób, ale pokój był tak duży, że gwar nie drażnił uszu. Cam rozejrzał się, rozpoznał większość twarzy, ale nie wszystkie. Nie znał na przykład mężczyzny, który rozmawiał z kobietą o pięknych nogach i jedwabistych długich włosach, skrywających jej profil. W pewnym momencie kobieta odwróciła lekko głowę. Cam rozpoznał Liz i od razu przypomniało mu się, jak całował ją na pożegnanie w policzek. Zapragnął z całych sił pocałować ją jeszcze raz - tym razem w usta.

Liz słuchała wywodów Tony'ego, gdy raptem odczuła czyjeś spojrzenie.

- Przyniosę ci drinka. - Tony wziął jej kieliszek. - Zaraz wracam.

Pomyślała, że w gruncie rzeczy to jemu zależało na kolejnym drinku, ale dzięki temu mogła się swobodnie rozejrzeć. W drzwiach stał Cam! Patrzył na nią tak intensywnie, że po raz pierwszy tego wieczoru poczuła się zmieszana. Podeszedł do niej bez uśmiechu, wyciągnął

rękę, a kiedy podała mu swoją na przywitanie, ujął jej dłoń i pocałował.

- Wyglądasz pięknie.

- Dziękuję. - Opanowała drżenie. - Cieszę się, że już jesteś.

- A ten facet z wąsami to kto?

- Profesor lingwistyki. Mieszka chwilowo u państwa Drydensów.

- Interesujący człowiek?

- Bardzo... Jak ci minęła podróż?

- Pogoda wstrętna... Śnieg, szklanka na szosach. A co u ciebie?

- Cieszę się, że już wróciłam. Pewnie masz ochotę się czegoś napić.
Idź...

- Chcesz mi dyplomatycznie dać do zrozumienia, że przeszkodziłem ci w miłej rozmowie?

- Wcale nie. Masz więcej tematów do rozmowy z Tonym niż ja. O, idzie... Pozwól, że ci przedstawię...

Gdy dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać, podeszła do nich Leonora.

- Bardzo się cieszę, że jesteś. - Podała Camowi kieliszek czerwonego wina, a całej trójce półmisek z tartinkami. - Mam nadzieję, że się nie obrazicie, jeśli porwę Tony'ego. Jest tu ktoś, z kim koniecznie chciałabym go poznać.

- Leonora ma niesłychane wyczucie - odezwał się cicho Cam, gdy pani Drydens delikatnie odprowadziła profesora. - Wie, że po ciężkim dniu wolę pogadać z tobą niż z najbardziej nawet błyskotliwym naukowcem.

- Przyrzekłeś, że nie będziesz ze mną flirtował.

- Obiecałem, że poczekam na sygnał. Nie włożyłabyś tej sukienki, gdyby nie zależało ci na komplementach. Powinnaś częściej rozwijać skrzydła. To skandal, ukrywać takie nogi w spodniach.

- Dużo wypiliśmy w samolocie?

- Nic. Nigdy nie piję podczas lotu, jeśli potem mam prowadzić samochód. Ciekawe, kiedy dostaniemy coś treściwego do jedzenia.

- Kolacja zacznie się chyba o wpół do dziesiątej, ale podają już przystawki. Poczekaj chwilkę, zaraz ci coś przyniosę...

Kiedy spróbowała się podnieść, przytrzymał ją delikatnie za rękę.

- Wytrzymam jeszcze ten kwadrans.

- Ojej! Zapomniałam! Dziękuję ci za kołatkę. Zrobiłeś mi wspaniałą niespodziankę.

- W takim razie proszę o podziękowanie w tradycyjny sposób. - Nadstawił policzek.

Nie bardzo jej to odpowiadało, lecz nie miała wyboru. Zamierzała cmoknąć go leciutko, lecz poruszył głową i raptem ich usta spotkały się. Zirytowana tym, że zmusił ją do takiego zachowania przy obcych, Liz cofnęła się błyskawicznie.

- To nie fair - wymruczała ze złością.

- Życie w ogóle jest nie fair - odparł Cam, nie puszczaając jej ręki.

- Panie i panowie, podano kolację, - Dźwięczny głos pani przerwał ich rozmowę, a parę chwil później ktoś powiedział: - Cam, mój miły... Tak dawno się nie widzieliśmy. - Kobieta w purpurowej bluzce i ametystowych kolczykach dosłownie zalała go potokiem słów, opowiadając o dramacie, który zafundowało jej życie. Pozwoliło to Liz uwolnić rękę i zniknąć Camowi z oczu.

Podczas kolacji przemyślała swoje zachowanie wobec Cama. Uznała, że powinna okazywać mu obojętność. Musiała w rozmowach z nim zachować lekki-ton i traktować go żartobliwie jak niesforne, nadskakującego psia-ka. Używać to on sobie może, pomyślała kwaśno, ale z kolejnymi damulkami. Blondynka, z którą rozmawiał, miała pewnie koło pięćdziesiątki, lecz nawet z daleka widać było, że aż pali się do flirtu.

Liz i jeszcze jedna z zaproszonych pań poprawiały właśnie makijaż, gdy Leonora Drydens dołączyła do nich. Szczupła i wysportowana, z gęstymi jasnymi włosami, mogła uchodzić za znacznie młodszą, niż była. Jednakże pomarszczona twarz i szyja zdradzały, że ma sześćdziesiąt parę lat, a może nawet więcej. Była ubrana w czarną atlasową bluzkę i eleganckie czarne spodnie. Porozmawiały chwilę we trzy, po czym pani domu zwróciła się do Liz:

- Mam ciekawy magazyn ogrodniczy. Zajdź do mnie do dużego pokoju, zaraz ci pokażę.

- Bardzo chętnie.

Pokój podzielony był na trzy części. Na dużym stole stała maszyna do szycia. W kącie znajdowała się sztaluga ze szkicem węglem, a przy ścianie biureczko i wygodna kanapa, nad którą wisały półki z przegródkami na książki i pisma.

- Prenumerujesz „Gardens Illustrated”? – zapytała pani domu, zamykając drzwi.

- Nie.

- Jeśli chcesz, pożyczę ci wszystkie stare numery, ale pomyślałam, że jeden z nich może cię szczególnie zainspirować. Jest w nim sporo

pomysłów nadających się do realizacji zarówno u Cama, jak i u ciebie. Usiądź, proszę, a ja poszukam.

- Widzę, że pani się nie nudzi.

- Mów mi po imieniu. Tak, nie starcza mi czasu na to wszystko, co chciałabym zrobić. O, jest... – Podała Liz magazyn w lakierowanej okładce. - Masz naprawdę przepiękną suknię. Cam wspominał mi, że współpracowałaś z pismem dla kobiet. Byłaś szefową?

Liz roześmiała się perliście. Wyjaśniła, co robiła, i powiedziała:

- Prawdę mówiąc, tę sukienkę kupiłam w sklepie z używaną odzieżą w Denii. Nie rozumiem, dlaczego ktoś się jej pozbył. Ja będę ją nosić zawsze.

- Przyjdzie czas, że nie będziesz mogła - odpowiedziała z uśmiechem pani Drydens. - W pewnym wieku lepiej nie odkrywać ramion. Często z pewnym żalem patrzę na ciuchy, które nosiłam w twoim wieku, ale niestety... Udało mi się jedynie zachować talię, cóż, dobre i to. Czy ktoś cię kiedyś portretował?

- Nie.

- Chciałabym namalować cię w tej sukni. Znalazłabyś czas, żeby mi pozować?

- Z największą przyjemnością.

- Świetnie. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu i uzgodnimy termin. A teraz powinnyśmy już chyba wracać do gości. Zostaw pismo pod swoim szalem.

Liz wstawała wcześniej i nie nawykła do nocnych imprez. Około wpół do jedenastej zaczęła ukradkiem ziewać. Ponieważ jednak nikt inny jeszcze się nie żegnał, poczekała, aż wyjdą pierwsi goście. Podziękowała gospodarzom za zaproszenie i powiedziała wszystkim dobranoc.

- Czy wolno mi będzie odprowadzić panią? – spytał Tony.
- Dziękuję - odpowiedziała z uśmiechem - ale mieszkam bliziotko. Tutaj jest bezpiecznie.
- Ja odprowadzę Liz - odezwał się Cam z takim błyskiem w oczach, że miała wielką ochotę odmówić.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Galán atrevido, de las damas preferido.

Bądź wytrwały, jeśli chcesz, by kochały cię kobiety.

- Miło było, nie uważasz? - powiedział, gdy wyszli na ulicę.

- Bardzo miło. Uroczy dom. Pyszne jedzenie. Mnóstwo ciekawych ludzi. Nie wiem jednak, co by pomyśleli, gdybym zaprosiła ich do swojej skromnej chałupki.

- Drydensowie byliby zachwyceni. Pieniądze i zewnętrzne oznaki zamożności nie mają dla nich znaczenia. Naprawdę cenią w ludziach wyłącznie inteligencję, inicjatywę i dobre maniery. Z pewnością napiszesz jutro do Leonory miłą karteczkę. Goście, którzy nie podziękują, nie są więcej zapraszani.

- Wiem, jak powinnam się zachować – powiedziała Liz urażona. - Jeśli znajdziesz czas, przejrzyj pocztę, znajdziesz tam moje podziękowania za prezent.

- Jesteś na mnie zła? - zapytał.

- Ani trochę. Za co miałabym być zła?

- Za to, że cię pocałowałem. A raczej cmoknąłem. Nie dałem powodu do plotek...

- Plotka nie żywi się prawdą. Nie powinnam zapominać, jaką cieszysz się opinią.

- Nie taki ze mnie diabeł, jak niektórzy twierdzą.
Chyba się mnie nie boisz?

- Nie przyszło mi to nawet do głowy.

- Masz krótką pamięć, Liz. Ale cieszę się, że zrewidowałaś swoje poglądy od czasu, gdy po raz pierwszy jedliśmy razem lunch. A może powtórzymy to jutro? Mam pewną propozycję...

- Ale tym razem ja stawiam.

- W porządku. O której?

- O wpół do dwunastej, jeśli ci pasuje.

Dochodzili już do jej domu. Liz zastanawiała się z drżeniem serca, czy Cam zechce pocałować ją na dobranoc. Nie zaryzykował.

- ***Buenas noches... hasta mañana*** - powiedział po hiszpańsku i zabrzmiało to w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka.

- ***Buenas noches.*** - Gdy odwrócił się, odprowadziła go wzrokiem. Jego wysoka sylwetka rzucała długi cień.

W porównaniu z ciepłym salonem państwa Drydensów dom wydał jej się zimny jak loch. Jej pokój nie miał ogrzewania, ale w łóżku było ciepłutko, gdyż przed wyjściem nakryła je elektryczną kołdrą. Przed zdjęciem sukienki przejrzała się w lustrze. „Wyglądasz pięknie” - stwierdził Cam. Żaden inny mężczyzna nigdy jej tego nie powiedział. Spotykały ją komplementy, lecz nigdy nie traktowała ich poważnie. Tym razem czuła, że nie były to puste słowa.

Rano żałowała, że umówiła się z Camem. Nie powinnam była pić tyle wina, wyrzucała sobie. Napisała liścik z podziękowaniem do Leonory, a potem wystukała na komputerze i wydrukowała swój cotygodniowy list do matki.

Kiedy wróciła z poczty, Cam stał na ulicy przed domem. Rozmawiał z sąsiadką, drobną kobietą w czerni. Być może starsza pani była przygłucha, w każdym razie nie usłyszała podjeżdżającego samochodu. Dopiero jakaś uwaga Cama sprawiła, że staruszka zamilkła i odwróciła się powoli.

- Chciałabym znać hiszpański tak świetnie jak ty - powtórzyła Liz po raz nie wiadomo już który, gdy wsiadł do samochodu.

- I kiedyś będziesz. Seniora Mora opowiadała mi o swoim bracie. Gdy w Hiszpanii panowała nędza, wyemigrował do Argentyny.

Gdy wyjechali z wioski, poprosiła, by przedstawił jej swój nowy pomysł.

- Szczerze mówiąc, wolałbym z tym poczekać, aż zajedziemy na miejsce.

- Mam nadzieję, że knajpka okaże się taka miła, jak twierdzi moja znajoma. Nigdy tam nie byłam.

- Najwyżej przeniesiemy się gdzie indziej.

Pół godziny później byli jedynymi gośćmi maleńkiej oberży. Prowadziły ją na pełnym pustkowiu matka z córką. W domku znajdowało się kilka długich stołów z ławami, a w ogródku cztery metalowe stoliki. Dzień był taki piękny, że wybrali ogródek.

Cam nalał do kieliszków czerwone wino z karafki.

- Trochę potrwa, zanim przyrządzą paellę, więc może przedstawię mój pomysł już teraz. Co ty na to?

- Umieram z ciekawości.

- Zanim zacznę, łyknij wina. Mój pomysł może ci się wydać nieco szokujący...

- O co chodzi?

- Myślę, że powinniśmy się pobrać - odparł spokojnie. - Ty i ja mamy sobie bardzo dużo do zaoferowania... Nim powiesz, że zwariowałem, wysłuchaj mnie. Znam mnóstwo nieudanych małżeństw i kilka, którym się powiodło. Te dobre łączy to, że zostały zbudowane na przyjaźni dwojga skorych do kompromisu ludzi.

Liz stopniowo odzyskiwała spokój.

- Podzielam twoją opinię, ale my prawie się nie znamy. Pochodzimy z zupełnie innych środowisk. Mamy inne temperamenty...

- No, dobrze - przerwał spokojnie. - Rozważmy najpierw te trzy sprawy, a inne odłożymy na później. A zatem, co powinna wiedzieć kobieta o mężczyźnie, nim go poślubi? Pomyśl przez chwilę i odpowiedz.

Z kieliszkiem w ręku podniósł się z krzeselka i przeszedł parę kroków, odsłaniając Liz widok na morze i Penon de Ifach.

Małżeństwo, myślała oszołomiona. Małżeństwo. Czemu właśnie mnie Cam proponuje coś, czego nie zaproponował nigdy innej? A może zaproponował i dostał kosza? Czy dlatego zmieniał kobiety jak rękawiczki? Dla-
tego, że ktoś złamał mu serce? Spojrzała na jego wyprostowane plecy. Fizycznie bardzo ją pociągał. Ale jaki był naprawdę?

- No i co? Zastanowiłaś się?

- Chyba tak. Kobieta musi mieć pewność, że jej ewentualny partner jest porządnym i wartościowym człowiekiem. - No i czułym kochankiem, pomyślała.

- No i jak mnie oceniasz?

- Wysoko, ale...

Młodsza z kobiet wyszła na dwór z koszyczkiem chleba, talerzem oliwek i półmiskiem małży.

- Lubisz małże? - zapytał Cam.

- Nie wiem. Nigdy nie próbowałam. A tak w ogóle - dodała z zakłopotaniem - tutaj nie jest tak wytwornie jak w restauracjach, do których mnie zapraszałeś. Przepraszam. Moja znajoma powiedziała mi, że ta knajpka ma w sobie coś z dawnej Hiszpanii.

- Liz... nie sądz, że jestem wścibski, ale... czy ty i twój mąż nie mieliście dzieci z wyboru, czy tak po prostu wyszło?

- Oczywiście, że nie z wyboru. Pragnęliśmy dziecka, ale nie mogliśmy go mieć. Duncan jako nastolatek przeszedł zapalenie jądra, nikt nie uprzedził go o ewentualnych następstwach. Zresztą, to niczego by nie zmieniło. Kochałam go. Wyszłabym za niego bez względu na wszystko.

Przez moment panowała cisza.

- Znam sporo par, które postanowiły nie mieć potomstwa. Uważają, że rodzicielstwo to wybór, a nie uleganie naturze. Podzielam ten punkt widzenia. Sam jednak chciałbym zostać ojcem - powiedział Cam, ostrożnie dobierając słowa.

- I to jest zasadniczy powód, dla którego zapragnąłeś się ożenić?

- Nie. Gdybym sporządził listę tych powodów, dziecko znalazłoby się na szarym końcu.

- A co byłoby pierwsze?

Upił łyk wina.

- Dwie sprawy: bycie z kimś i seks. Chciałbym mieć kogoś, z kim mógłbym dzielić się i duszą, i ciałem.

- Chyba nie miałeś problemów ze znalezieniem partnerki do łóżka...

- Nie żyłem jak mnich, ale umiem być wierny.

- Znudziłoby ci się.

- Nie. Nie nudzą mi się ulubione książki, muzyka, obrazy. Tobie może się to wydawać odpychające, ale seks to elementarna ludzka potrzeba. Wyszłaś za mąż młodo. Gdyby się tak nie stało, czy masz pewność, że nie sprawiłyby ci przyjemności tymczasowe związki, póki nie znalazłabyś kogoś na stałe?

- Może, chociaż... chociaż nie wyobrażam sobie, że poszłabym do łóżka z kimś, kogo nie darzyłabym sympatią i gdybym nie wierzyła, że to coś więcej niż przelotny romans. Rozumiem jednak twój punkt widzenia.

Masz niebezpieczną pracę, więc kierujesz się zasadą: żyj dzisiaj, bo jutra może nie być.

- Wiesz przecież lepiej niż inni, że jutra może nie być w każdych okolicznościach. Na pewno twój mąż nie chciałby, żebyś smuciła się do końca życia. Romantyczna miłość nie jest jedynym warunkiem udanego związku.

W wielu kulturach do małżeństwa dochodzi w wyniku bardzo praktycznej umowy, a uczucie rozwija się dopiero z biegiem lat.

- Ale w naszej kulturze tak nie jest.

- W naszej kulturze panuje teraz zamęt. Myślę, że stoimy u progu ogromnych przemian. Wydaje mi się również, że i tobie, i mnie będzie różniej, jeśli stawimy im czoło wspólnie.

W ogródku pojawiła się oberżystka. Sprzątnęła nakrycia i półmisek.

- **Bien?**

- **Muy bien** - odparł Cam tonem tak swobodnym, jakby przerwana rozmowa nie miała szczególnego znaczenia.

Czy uznał za pewnik, że przyjmę jego propozycję? - zastanawiała się Liz. Czemu zresztą miałyby sądzić inaczej? Ile kobiet by mu odmówiło? *Tyle* że ten mężczyzna nie wierzył w miłość, a może w ogóle nie był do niej zdolny.

- Byłeś kiedyś zakochany? - zapytała.

- Tak... oczywiście - odparł wesoło. - Między siedemnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia kilka razy kochałem się na zabój, ale na szczęście żadna z tych dziewczyn nie odwzajemniała uczucia albo interweniowali rodzice.

- Na szczęście? Dlaczego?
Wzruszył ramionami.

- Wtedy tak nie uważałem, ale teraz sędzę, że ludzie około dwudziestki jeszcze nie dojrżeli do poważnego związku. Najpierw trzeba zrozumieć samego siebie, dopiero potem szukać partnera. Możliwe, że w twoim przypadku było inaczej.

- Nie mam pewności, czy wiem, kim jestem, nawet teraz - odpowiedziała sucho. - Życie upływa mi zwyczajnie. Nie mam wrażenia, że nad nim panuję.

- Teraz jednak musisz podjąć decyzję. Dam ci oczywiście czas do namysłu. Poproszę o odpowiedź, gdy zakwitną drzewka pomarańczowe. Czy to nie romantyczne? - Wyraźnie się z nią droczył.

- A kiedy dokładnie, się to stanie?

- To zależy, jaka była zima. Zwykle wczesną wiosną. A póki co, możemy się często spotykać.

- Traktujesz małżeństwo o wiele mniej poważnie niż ja - odparła szorstko.

Paellę podano na dużej, płytkiej patelni. Żółty, barwiony szafranem ryż błyszczał w słońcu.

- Ja nałożę, dobrze? - powiedział Cam i zrobił to z wprawą godną kelnera.

Jedli w milczeniu.

- Pycha. - Po skończonym posiłku Cam pogładził się po płaskim brzuchu. - Wiesz co - zaproponował – może przejdziemy się trochę, a kawę wypijemy później?

- A jeśli oberżystka pomyśli, że wymknęliśmy się bez zapłacenia za posiłek? Chyba powinnam najpierw uregulować rachunek?

- Zaraz jej wszystko wyjaśnię. Ale wierz mi, ona na pewno nie jest taka lękliwa jak ty.

Jestem tchórzliwa? - zastanowiła się Liz. Skoro tak sądzi, to czemu chce wiązać się ze mną, a nie z jakąś przebojową panienką w typie Fiony?

- Chodźmy. - Cam stanął przy niej i pokazał drogę po przeciwnej stronie ulicy.

- Nie zapłaciłeś, prawda? - spytała, gotowa zrobić awanturę.

- Powiedziałaś, że dzisiaj ty stawiasz.

- Tak, ale wiem, jacy są mężczyźni. Lubią rządzić.

- Nie zawsze... Spójrz, jastrząb!

Doszli do małego, opuszczonego domku z kamienia.

- Aż trudno sobie wyobrazić, że można spędzić całe życie w takim odosobnionym zakątku - powiedział Cam, gdy ciekawie zaglądali do środka. - Chyba bym tego nie wytrzymał. Tak dzień po dniu, rok po roku harować bez nadziei na lepszą przyszłość... Pewnie bym stąd uciekł. Musiałbym zobaczyć, co jest po drugiej stronie gór. Ale potem może bym wrócił. Jest tu spokój, którego darmo szukać w miastach. - Odwrócił się do Liz. - Co tak przycichłaś? O czym myślisz?

- O twojej propozycji, oczywiście. Spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. A o czym innym mogłabym myśleć?

- Mówisz tak, jakby spotkało cię coś nieprzyjemnego. Rozumiem, jesteś zaskoczona; uważałaś mnie za zagorzałego zwolennika wolności. Ale dlaczego nie możesz uwierzyć, że naprawdę proszę cię o rękę? - Nim zdążyła odpowiedzieć, nachylił się i pocałował ją w usta.

Był to leciutki, przełomy pocałunek, ale natychmiast obudził jej zmysły. Ogarnęły ją bardzo silne emocje i w tym samym momencie dotarła do niej prawda, przed którą usiłowała się bronić. Zakochała się w Camie. Objął ją, przytulił do siebie i pocałował ponownie. Mocno i pewnie.

- Było mi dobrze. A tobie? - powiedział potem, nie wypuszczając jej z objęć.

Oswobodziła się, zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć coś sensownego.

- Chyba powinniśmy już wracać.

Zdumiało ją, że jej głos brzmi pewnie i stanowczo, choć cała dygotała. Jednym pocałunkiem Cam sprawił, że zapragnęła go tak mocno, jak nikogo przedtem.

- Jak sobie życzysz. - Wypuścił ją z objęć.

Idąc za nią ścieżką, próbował zebrać myśli. Był najzupełniej pewien, że wie, co przeżywa Liz. Wreszcie uświadomiła sobie coś, co wcześniej do niej nie docierało – że jej erotyczne potrzeby nie umarły, lecz zostały uspięte. Teraz jej zmysły obudziły się i wołały o zaspokojenie. Świadomie nie rozgrzał jej aż tak, jak mógłby to zrobić. Trzeba było czasu i cierpliwości, by pojęła, że ich wzajemne pożądanie nie jest niczym zdrożnym ani nienormalnym. Patrząc na jej wąską kibić i zaokrąglone biodra, miał ogromną ochotę natychmiast

zabrać ją do domu i pójść z nią do łóżka. Ale nie wolno mu było tak postąpić - jeszcze nie dziś, nie teraz. Musiał zachować cierpliwość.

Po powrocie do oberży zjedli na deser owoce, wypili kawę i nie spiesząc się, ruszyli do Valdecarrasca. Cam zasugerował, żeby po drodze wpaść do sklepu ogrodniczego. Chciał kupić kilka doniczek geranium. Szkółka, przy której się zatrzymali, nie była jednak zbyt dobrze zaopatrzona, toteż Cam postanowił wybrać się po zakupy do jednej z większych kwaciarni, w której zaopatrywali się właściciele nadmorskich willi.

- Moglibyśmy zrobić to jutro - zaproponował. - Pochodziłbym też z miłą chęcią po sklepach. Zostałem zaproszony na parapetówkę i muszę znaleźć odpowiedni prezent.

Miasteczko Gata de Gorgos słynęło z produkcji mebli i sklepów oferujących wyroby z wikliny. Liz przyjeżdżała tu do kina, a czasem buszowała po sklepikach. Miała wielką ochotę odwiedzić je znowu, ale czuła, że mądrzej będzie znaleźć jakąś wymówkę.

- Powinnam jutro popracować, naprawę.

- A poza tym jesteś w szoku i chcesz ochłonać, tak?

Nie musiała patrzeć na niego, żeby wiedzieć, że kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu.

- Tak, to też - przyznała.

- OK, dam ci trochę odetchnąć. - Otworzył przed nią drzwi. - A co byś powiedziała, gdybyśmy przełożyli ten wypad na piątek? Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś mi doradziła, co kupić na prezent., a poza tym musimy

koniecznie spędzać razem jak najwięcej czasu. Ułatwi ci to podjęcie decyzji.

- Zgoda - przytaknęła. - Niech będzie piątek.

Rano zadzwoniła Leonora.

- Liz, znajdziesz dla mnie godzinkę po południu? Chciałabym zacząć malować twój portret.

O trzeciej Liz weszła do domu Drydensów. Leonora powitała ją ubrana w spraną koszulę męża i poplamione farbą spodnie. Przez pierwsze pół godziny pozowania rozmawiały na obojętne tematy, aż w pewnym momencie pani Drydens powiedziała:

- Wyczuwam w tobie napięcie. Masz jakiś problem?

Liz zawahała się, a potem spontanicznie przyznała:

- Tak, mam, ale nie sądziłam, że to się tak rzuca w oczy.

Leonora, która co kilkanaście sekund przenosiła wzrok z płótna na swoją modelkę, tym razem przyjrzała się jej dłużej.

- Czy jest to coś, o czym możesz mi powiedzieć? Jeśli tak, śmiało, ulży ci.

- Cam niedawno poprosił mnie o rękę - wyznała niepewnie Liz.

Ku jej zaskoczeniu wiadomość ta wcale nie zdziwiła Leonory.

- Zauważyłam podczas przyjęcia, jaki jest tobą zauroczony.

Rozmawiałam o tym później z Toddem. Uznał, że ponosi mnie wyobraźnia, ale cóż, mężczyźni na ogół nie dostrzegają takich rzeczy.

Zgodził się natomiast ze

mną, że najwyższy czas, by Cam znalazł sobie żonę i że bardzo do siebie pasujecie. Czemu się wahasz? Bo zbyt krótko się znacie?

- To też - przytaknęła Liz. - Jak długo znaliście się z Toddem, nim postanowiliście się pobrać?

- Znaliśmy się od dziecka, więc chociaż pobraliśmy się bardzo młodo, nie była to dla mnie aż tak trudna decyzja. Po latach myślę jednak, że ludzie powinni zawierać małżeństwo w nieco późniejszym wieku. Ty i Cam wiecie już, kim jesteście i co jest dla was ważne.

- On tak... ale ja chyba nie. Chciałabym mieć dzieci, tak, to wiem na pewno. Ale czy to wystarczający powód, żeby wychodzić za mąż?

- A czy Cam chce mieć dzieci?

- Tak twierdzi.

Leonora namyślała się w milczeniu.

- Musisz postawić sobie pewne pytanie - powiedziała po dłuższej chwili.

- Jak ten mężczyzna pomaluje mój świat i czy ja potrafię ubarwić mu życie? Feministki rozdarłyby mnie na strzępy, słysząc, co mówię, ale uważam, że lepiej jest być czyjąś żoną, niż żyć samotnie. O ile mąż nie jest człowiekiem brutalnym, agresywnym albo krańcowo nudnym. Mężczyźni są tacy użyteczni!

- Ale małżeństwo to coś więcej niż wzajemne dogadzanie sobie i pomoc w praktycznych sprawach.

- Oczywiście, tyle że sprawy praktyczne stanowią istotną część życia, więc dobrze jest wiedzieć jak najwięcej o zdolnościach i cechach charakteru partnera. Fanatyczna czyścioszka nie będzie szczęśliwa z bałaganiarzem. Osoba o liberalnych poglądach nie dogada się nigdy ze skrajnym tradycjonalistą. Todd i ja spieramy się ostro w wielu kwestiach, ale w tych najważniejszych jesteśmy zgodni.

- A jakie uważasz za najważniejsze?

- Stosunek do pieniędzy, religii, polityki i seksu. Rozmawiałaś na te tematy z Camem?

- Jeszcze nie. Nie było na to czasu.

Leonora odstąpiła od sztalugi i zmrużonymi oczyma przyjrzała się szkicowi.

- Zatem porusz te tematy jak najszybciej. Cam nie obrazi się, jeśli spytasz go wprost o jego poglądy. Co więcej, powie ci prawdę, a nie to, co ewentualnie chciałabyś usłyszeć. To jeden z najrozsądniejszych, najmądrzejszych i najuczciwszych ludzi, jakich znam.

Leonora najwyraźniej chciała dodać jej odwagi, ale to, co powiedziała, onieśmieliło Liz. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie ustępuje Camowi pod względem intelektualnym, no i było wiele zagadnień, o których wiedziała za mało, żeby mieć na ich temat wyrobioną opinię.

- Starczy na dziś - powiedziała Leonora. – Napijmy się herbaty. Idź się przebrać, a ja nastawię wodę. Czy nie mogłabyś zostawić u mnie tej pięknej sukni? Chciałabym obejrzeć fakturę materiału i uchwycić odcień.

Po powrocie do domu Liz znalazła na stole bukiet kwiatów. Tylko jedna osoba mogła ją tak obdarować.

Cam. Skorzystał zapewne z klucza, który mu dała.

Owinięty ciemnozielonym firmowym papierem bukiet blad różowych róż miał kremową wstążeczkę i przybranie. W dołączonym karneciku przeczytała:

Dziękuję za wczoraj. Czekał na jutro. C.

Włożyła kwiaty do gąsiora na wino i poszła na górę wysłać do Cama mail z podziękowaniami. Przez cały wieczór rozmyślała nad radami Leonory. Sądziła, że pani Drydens zapyta ją o poprzednie małżeństwo, ale nawet o nim nie napomknęła. Ciekawe dlaczego? Zresztą, może to i dobrze. Nie miałyby ochoty rozmawiać na ten temat. Lepiej było zostawić przeszłość w spokoju.

Gdy tuż po dziesiątej wyruszyli do miasta, nad doliną snuły się jeszcze długie pasma mgły, które niedługo miało rozproszyc słońce. Przewidując, że w sklepikach może być zimno, Liz włożyła koszulę z długimi rękawami, sweter, a na to jeszcze kamizelkę.

- Dla kogo szukasz prezentu? - spytała Cama w samochodzie.

- Dla bliskich znajomych, którzy kupili i wyremontowali stary wiejski dom. Wprowadzają się tam na Wielkanoc, a może i wcześniej. Podejrzewam, że dostaną masę rzeczy, na których wcale im nie zależy i nie chciałbym dorzucać jeszcze jednego zbędnego prezentu.

- Najgorsze są rozmaite ozdóbki - przytaknęła Liz, przypominając sobie kilka prawdziwych ohydztw, jakie dostali z Duncanem w prezencie ślubnym. - Pewnym ludziom nie przyjdzie nigdy do głowy, że to co w ich mniemaniu jest piękne, komu innemu może się po prostu wydać koszmarne.

Cam roześmiał się serdecznie. W życiu by nie pomyślała, że zęby mogą być seksowne, ale jego były. Podobne wrażenie robiły na niej jego ręce. Miała uczucie, że w razie nagłej potrzeby zareagowałyby spokojnie i stosownie do okoliczności.

Do miasta można było dojechać dwiema różnymi drogami. Wybrał tę, która biegła krętym korytem wyschniętej rzeki. Na dalekim horyzoncie malował się górski masyw. Liz doszła do wniosku, że nadarza

się sposobność, by poruszyć tematy, o jakich wczoraj wspomniała Leonora.

- Czytałam gdzieś - zagadnęła - że ludzie zamierzający się pobrać, powinni uzgodnić między sobą przynajmniej cztery sprawy.

- To znaczy jakie?

- Chodzi o stosunek do pieniędzy, religii, polityki i... seksu.

- Jako naoczny świadek najstraszliwszych zbrodni popełnianych w imię wyznania i polityki, nie mam szczególnego szacunku dla przywódców religijnych i polityków - odpowiedział. - Jeśli na świecie miałyby kiedyś za-panować pokój, byłby to najprawdopodobniej efekt odkryć w dziedzinie genetyki. Bardzo mnie poruszają ostatnie wyniki badań ludzkiego genotypu. Myślę, że w tym cała nasza nadzieja.

- Też tak sędzę.

- A jaki jest twój stosunek do pieniędzy?

- Nigdy nie miałem ich za dużo, więc szczerze mówiąc, nie wiem. Nie lubię ludzi chciwych ani skąpców. Z całą pewnością nie wyznaję również zasady, że najlepiej żyć na kredyt. A co ty sądzisz o życiu na kocią łapę?

- Na pewno się domyślasz. Absolutnie tego nie akceptuję! Nie widzę też sensu w zawieraniu małżeństwa, jeśli ktoś z góry zakłada, że mogłoby być nietrwale.

- Czasem jednak, mimo dobrych intencji z obu stron, związek się rozpada, ale na świecie są już dzieci...

- Człowiek nie powinien mieć dzieci, jeśli nie jest pewien, że wypełni należycie swoje rodzicielskie zobowiązania.

- To bardzo idealistyczne podejście. Brzmi pięknie, ale w praktyce często się nie sprawdza.

- Wiem... ale uważam, że życie na kocią łapę prowadzi do tego, że później w małżeństwie nie ma prawdziwej miłości ani zaufania. Powstaje coś na kształt firmy usługowej. Jedna ze stron oferuje młodość i urodę, druga - majątek lub sławę.

- Myślisz chyba o związkach ludzi z show-biznesu... Ja, jak wszyscy, którzy pracują dla telewizji i występują na wizji, cieszę się popularnością, ale jednocześnie jest we mnie potrzeba prywatności i bardzo cenię wzajemne zaufanie. To chyba wpływ dziadków. Byli skromniejsi od moich rodziców, którzy z kolei są nieuleczalnie rozrzutni... Czy twoja mama żyje na wysokim poziomie?

- Ma mały domek i wystarcza jej na życie. Nie muszę jej pomagać - dodała na wypadek, gdyby się obawiał, że przyjdzie mu wziąć na swoje barki utrzymanie teściowej. - Nie sędzę jednak, żeby nasze mamy cokolwiek łączyło. Pochodzę z innego środowiska.

- Czy ty, Liz - zerknął na nią przekornie - nie jesteś przypadkiem snobką? Jako dziennikarz wiem bardzo dobrze, że wartości człowieka nie mierzy się jego pozycją społeczną. Spędziłem kiedyś trochę czasu z facetem, który mył londyńskie pisuary. Niedługo potem przeprowadzałem wywiad z pewnym prezesem, członkiem zarządów kilku firm. I wiesz, jakie odniosłem wrażenie? Że ten pierwszy w sprawach, które naprawdę coś znaczą, jest znacznie rozsądniejszy.

- Bardzo możliwe, ale nie powiesz chyba, że czuliby się dobrze w swoim towarzystwie.

- Pewnie nie. Chociaż... gdyby byli na siebie skazani w jakiejś trudnej sytuacji, prawdopodobnie by się dogadali. Nie zdziwiłbym się też, gdyby przewodnictwo objął sprzątac, i to za zgodą prezesa.

Odbiegliśmy jednak od tematu. W naszym przypadku liczy się tylko, że odbieramy na tej samej fali. Nie powinno nas obchodzić, czy nasze rodziny przypadną sobie do gustu. To nie nasza sprawa

Dojeżdżali już do przedmieścia. Uliczki były bardzo wąskie, toteż Cam musiał skupić całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Udało mu się znaleźć miejsce niedaleko głównej ulicy, za chwilę byli już w jednym z wielu

sklepek z wikliną, szkłem i porcelaną. Zarówno tutaj, jak w innych sklepach, których weszli, spośród rzędów półek wyłaniały się, najczęściej niemłode kobiety, które bacznie obserwowały klientów.

Kiedy orientowały

się, że Cam mówi płynnie po hiszpańsku, z przyjemnością wdawały się z nim w rozmowę.

W którymś z kolei sklepie Liz zauważyła komplet smukłych zielonkawych kieliszków do wina. Wydały jej się odpowiednie do domu, który opisał Cam. Jemu też się spodobały, kupił je więc, a także dwa pasujące dzbanki. Liz wybrała dla siebie wazon.

- Czas na kawę - powiedział, gdy umieścił zakupy w bagażniku. - Chyba że nie lubisz pić kawy w barze, ale nie sądzę, żebyśmy znaleźli tutaj bardziej eleganckie miejsce.

Bar, do którego weszli, był pusty. Barman wymiatał spod stołków saszetki po cukrze i niedopałki. Grał telewizor, a dwa automaty z sokami owocowymi błyskały światłami, hałas nie był jednak aż tak nieznośny, jak to

się na ogół zdarzało w tego typu lokalach. Liz usiadła przy stoliku, a Cam podszedł do kontuaru. Po chwili przyniósł dwie filiżanki kawy i postawił je na plastikowym, imitującym drewno blacie, obok popielniczki, plastikowego kubka z wykałaczkami i plastikowej podstawki na kwadratowe serwetki, które - co Liz znała z doświadczenia - niczego dobrze nie wchłaniały.

- Najcudowniej to tu nie jest - mruknął Cam i poszedł jeszcze po białe wino. - Ale - uśmiechnął się liczy się przede wszystkim towarzystwo.

Gdybyż moje liczyło się dla niego tak bardzo, jak jego dla mnie, pomyślała z bólem. Gdyby rzeczywiście istniała szansa, że mnie pokocha...

Tymczasem Cam upił łyk wina i zagadnął:

- A zatem dokąd to doszliśmy na tej twojej liście spraw do dyskusji? Kwestie religii i polityki mamy zdaje się za sobą. Jeśli chodzi o pieniądze, uważam, że kiedy ludzie biorą ślub, powinni przelewać swoje dochody na wspólne konto, zostawiać sobie trochę zaskórniaków, a poważniejsze wydatki planować razem. Dobrze mówię?

- Dobrze - przytaknęła Liz, czując, że serce zaczyna jej bić szybciej ze zdenerwowania.

- W takim razie został nam jeszcze tylko jeden punkt. Jeden, ale być może najistotniejszy... - W jego stalowych oczach pojawił się błysk. - Seks. Co chcesz w tej kwestii omówić?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Donde no hay amor, no hay dolor.

Gdzie nie ma miłości, nie ma bólu.

- Dla mnie ważną sprawą jest wierność. Nie dałabym rady wytrwać w tak zwanym otwartym związku. Ale czy dla kogoś, kto przywykł do... do urozmaiconego stylu życia, wierność jest w ogóle możliwa?

- Nie tylko możliwa, ale i — zrozum, ja tego właśnie pragnę. Uznałem jedynie za niemożliwe związanie się z kimś na stałe, gdy istniało ryzyko, że nie wrócę z kolejnego wyjazdu. Zresztą, mówiliśmy już o tym. Wiesz, wielu mężczyzn ma smutne i nieudane życie seksualne. Nie rozumieją kobiecych potrzeb, więc nie otrzymują tego, czego pragną, i zaczynają rozglądać się na boki. Nie uświadamiają sobie, że problem tkwi w nich samych.

Chciała spytać: „A ty rozumiesz?”, lecz niełatwo jej było o tym rozmawiać. To zażenowanie było balastem wyniesionym z dzieciństwa. W domu nigdy nie mówiono przy niej o seksie. To był temat tabu. Nawet kiedy ojca nie było, matka zbywała ją szorstko, dając do zrozumienia, że jeśli Liz chce się czegoś dowiedzieć, musi sobie znaleźć inne źródło informacji. Stały się nim książki i pisma. Jednakże, jak miała się rychło przekonać, teoria i praktyka nie zawsze szły ze sobą w parze,

Cam przypatrywał się jej uważnie. Domyślał się, że Liz bije się z myślami, do których być może nigdy nie będzie miał dostępu.

- Jeśli zdecydujesz się wyjść za mnie – powiedział cicho - będę ci wierny. Obiecuję. Ja też nie jestem zwolennikiem otwartych małżeństw... Moja babcia powtarzała często stare porzekadło, że

nawróceni podrywacze są najlepszymi mężami... Nie powinnaś być zdziwiona i zła, że mężczyzna w moim wieku przeżył to i owo.

- Oczywiście... ale miałaś chyba tych przeżyć ciut za dużo.

Nieczęsto zdarzało się, że brakowało mu słów. Były jego narzędziem pracy. Jednakże opowiadanie Liz o przeszłości okazało się znacznie trudniejsze niż wyjaśnienie kilku milionom telewidzów skomplikowanych uwarunkowań politycznych na Środkowym Wschodzie czy w Afryce.

Sięgnął przez stół i położył dłoń na jej ręce.

- Chcę spędzić z tobą resztę życia - powiedział. - Założyć rodzinę, cieszyć się każdym dniem.

Miał nadzieję, że odwróci dłoń i splecie z nim palce. Ale jej ręka pozostała nieporuszona.

- Obecnie - powiedziała Liz - większość ludzi przez jakiś czas żyje ze sobą na próbę, dopiero potem podejmuje decyzję o małżeństwie. Czy nie sądzisz, że to rozsądne podejście?

- Czy ze swoim mężem przeszłaś taką próbę?

Podobnie jak wczoraj, również dziś na wzmiankę o mężu w oczach Liz pojawił się ból. Wiedziała, że Cam będzie pytał o jej małżeństwo z Duncanem. Być może pewnego dnia powie mu, całą prawdę, ale nie teraz, jeszcze nie. Pokręciła głową.

- Nasze rodziny nigdy by na to nie pozwoliły. O wspólnym zamieszkanu na próbę nie mogło być mowy. Nie miałam buntowniczej natury. Duncan też.

- Kim był z zawodu?

- Księgowym w towarzystwie ubezpieczeniowym.

Camowi, była tego pewna, takie zajęcie musiało się wydawać szczytem nudziarstwa.

- Lubił tę pracę?

- Na pewno nie był nieszczęśliwy. Sądzę, że po prostu pogodził się z faktem, że większość ludzi niespecjalnie ekscytuje się wykonywaną pracą. Miał za to hobby - zbierał monety. Należał do kilku klubów numizmatycznych i pisywał na ten temat artykuły.

Duncan wyda się teraz Camowi jeszcze większym dudziarzem, pomyślała, lecz ku swemu zdziwieniu usłyszała:

- To fascynująca dziedzina. Nie wiem o niej prawie nic, lecz rozumiem, jak to wciąga. Mój dziadek zbierał znaczki, ale nie usiłował mnie nimi zainteresować. Uważał, że pasji kolekcjonerskiej nie da się przekazać, bo

jest to bardzo osobista sprawa. A wracając do sprawy wspólnego zamieszkania na próbę, myślę, że w wiosce takiej jak nasza nie ma to sensu. W Londynie czy Nowym Jorku nikogo nie obchodzi, co robią inni, tutaj jednak obowiązują inne zasady.

Powoli pił wino, przypatrując się jej z lekkim rozbawieniem.

- Jeszcze niedawno ostrzegałaś mnie, żebym nie przekraczał pewnej granicy. A teraz co? Sugerujesz, żebyśmy się ze sobą przespali? Przecież nie podjęłaś jeszcze decyzji o małżeństwie. A może...

Poczuła, że się czerwieni.

- Nie, nie podjęłam. Wciąż uważam, że to szalony pomysł.

- Przeciwnie, bardzo racjonalny. Nie spierajmy się jednak. Będę cierpliwie czekał na odpowiedź.

Wrócili do wioski dopiero późnym popołudniem. Wysadzając Liz przed domem, Cam zapytał, czy wybiera się jutro na targ do Benissy. Mimo że rozsądek podpowiadał jej inną odpowiedź, zgodziła się od

razu, żeby
pojechali razem.

- Czy o wpół do dziesiątej nie będzie za wcześnie? - zapytał.

- Nie, w sam raz.

Tego wieczora, gdy włączyła komputer, nie mogła oprzeć się pokusie popatrzenia na zdjęcie Cama. Powiększyła je i wydrukowała.

Później, leżąc w łóżku, spędziła długie minuty, studiując każdy szczegół twarzy Cama. Odkryła, że kiedy zasłoni ręką jego lewe oko, prawe spogląda dziwnie surowo. Gdy zakryła prawe, w lewym pojawiał się ów zmysłowy błysk, który wprowadzał ją w takie zakłopotanie. W pewnym momencie wstała z łóżka, wzięła lusterko i zaczęła przyglądać się własnym oczom. Wydawało jej się, że jedno i drugie ma ten sam wyraz. Być może różnicę dałoby się dostrzec jedynie na fotografii, ale jej jedyne portretowe zdjęcie z paszportu było za małe, żeby przeprowadzić takie szczegółowe badania.

Raptem przypomniała sobie, że jako nastolatka tak samo wpatrywała się w zdjęcie Duncana, i ogarnął ją niepokój. Czy od tamtych czasów choć trochę zmądrzała? Była starsza, owszem, ale czy rozsądniejsza? Kiedyś, jeszcze w szkole, wryło jej się w pamięć przeczytane gdzieś zdanie; „Przyjaźń jest bezinteresowną wymianą wartości między równymi; miłość - walką między tyranem a niewolnikiem”.

Duncan, najłagodniejszy z łagodnych, nie był tyranem. A mimo to jej małżeństwo okazało się niewolą, z której, jak sądziła, nie ma ucieczki. Potem nieoczekiwanie odzyskała wolność. Czuła się chora ze wstydu, gdyż ceną tej wolności było życie męża.

O północy, nie mogąc zasnąć, Liz weszła na swój dach po raz pierwszy od tamtego świtu, gdy Cam przywiózł do siebie Fionę. Obecnie światło paliło się jedynie w saloniku. Gdyby telewizor był włączony, widziałyby niebieskawą poświatę. Poświaty jednak nie było, a zatem Cam pewnie czytał. Przynajmniej to jedno ich łączyło. Oboje byli molami książkowymi. Ale czy to wystarczy, by na takiej podstawie budować małżeństwo?

Gdy przyjechali do Benissy, na targowej ulicy panował już ogromny ruch. Po obu jej stronach znajdowały się ustawione tarasowo domy - jedne wysokie, inne mniejsze, wszystkie jednak z czarnymi żelaznymi kratami w oknach na parterze, z wąskimi balkonikami przy oknach na piętrze i kołatkami na drzwiach. Dziś królowały tu stragany ze stertami połyskujących fioletowo oberżyn, czerwonej i zielonej papryki, czosnku, grzybów, truskawek, karczochów i wielu innych owoców i warzyw. Przy straganach tłoczyły się miejscowe kobiety, niektóre z wózkami na zakupy, a inne z maluchami w wózkach. W głośnym gwarze przeważał tutejszy dialekt hiszpańskiego, ale w tej istnej wieży Babel słyhać też było niemiecki, holenderski, francuski, angielski i języki skandynawskie. Liz zauważyła, że w stronę Cama kierują się często pełne zainteresowania spojrzenia. Zastanawiała się, czy ludzie rozpoznają w nim słynnego korespondenta. Mimo wspaniałego klimatu wybrzeże Costa Blanca nie miało nigdy takiego powodzenia jak niegdyś bardzo modne, a dziś cieszące się zdecydowanie nie najlepszą sławą Costa del Sol.

Chociaż miejscowi byli zawsze bardzo grzeczni, podczas poprzednich wypadów na targ Liz czasami popadała w konflikt z cudzoziemcami, którym wydawało się, że powinni zostać obsłużeni poza kolejnością. Tym razem czuła się pewniej. Och, jak dobrze, jak przyjemnie było przebywać w tłumie z kimś większym i silniejszym, kto

uznawał za swój obowiązek ją chronić. Emancypacja to świetna rzecz, lecz w pewnych okolicznościach kobiecie przydaje się silne męskie ramię.

Cam pochylił się nagle i wziął ze straganu grejpfrut. Liz poczuła subtelny zapach wody kolońskiej. I w tym momencie zrozumiała, że bez względu na wszystkie wątpliwości przyjmie jego oświadczenia. Nie była w stanie opierać się dłużej uczuciu do Cama, podobnie jak kiedyś nie umiała wybić sobie z głowy młodzieńczego zauroczenia Duncanem. Pozostało jedynie modlić się, żeby tym razem wszystko ułożyło się pomyślniej.

- Popchnąłem cię? Przepraszam - powiedział, spoglądając na nią w tym samym momencie, gdy podniosła wzrok.

- Nie ma za co. Straszny tu ścisk - odparła tonem, który nawet jej samej wydał się nienaturalny, a Cam, podając owoc sprzedawcy, wymruczał tuż przy jej uchu:

- Owszem, ale tylko ty tak na mnie działasz. Mam wielką ochotę pocałować cię.

Zwalczyła w sobie pokusę, żeby powiedzieć „No, to całuj, na co czekasz?”. Zauważyła, że Cam nagle spoważniał.

- Podjęłaś decyzję? - zapytał cicho takim tonem, jakby już wiedział. Zdziwiła się. Jak to możliwe, że tak szybko odczytywał jej myśli?

- Coś jeszcze, proszę pana? - przerwał im sprzedawca.

- Nie, dziękuję. - Cam wręczył mężczyźnie kilka monet, odebrał resztę i zwrócił się do Liz: - Zaniosę zakupy do samochodu, a ty pomyśl jeszcze w tej drugiej uliczce. Potem pójdziemy na kawę.

Wziął od niej plastikową torbę i odszedł. Odprowadziła go wzrokiem i ruszyła powoli w stronę tej części targowiska, gdzie sprzedawano ubrania i buty. Były tam również kramy z tanimi zegarkami,

bizuterią i kolorowymi dywanikami. Handlowali nimi głównie ciemnoskórzy Afrykanie, wnosząc trochę egzotyki do atmosfery małego hiszpańskiego miasteczka.

Liz lubiła chodzić po targu, dziś jednak jej myśli pochłaniała wyłącznie sprawa związku z Camem. Jeszcze wczoraj twierdziła, że ich ewentualne małżeństwo to nie- dorzecznosc, a teraz gotowa była przyjąć jego oświadczenia. Prawdę mówiąc, pragnęła tego z całej duszy, ale do tego nie zamierzała się przyznawać.

Kiedy wrócił, razem z dwójką dzieci przyglądała się nadmuchiwanej zabawce pływającej w jaskrawoczerwonym plastikowym pojemniku.

- Jeśli chcesz mieć taką zabawkę do kąpieli, chętnie ci kupię - powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu, i zanim zdążyła go powstrzymać, poprosił sprzedawcę o zabawkę.

- Wariat! - zaprotestowała.

- Nie, po prostu jestem szczęśliwy. - Uśmiechnął się. - Wyobrażasz sobie? Wystawimy wannę na dziedziniec, przyniesiemy wodę i zrobimy sobie kąpiel. Ja, ty i ta zabawka. Widziałem taką reklamę w...

- Chyba naprawdę ci odbiło. Wszyscy by nas widzieli.

- Miło zobaczyć twoją przerażoną minę. - Wręczył jej zapakowaną zabawkę. - Niech ci dobrze służy, póki nie zaprosisz mnie do wspólnej kąpieli.

- Jeszcze nie powiedziałam, że za ciebie wyjdę. To tylko twoje przypuszczenie.

- A myślę się?

- Nie - przyznała.

- No, to poszukajmy jakiegoś ustronnego kąca i pomówmy o przyszłości. - Wziął ją za rękę i poprowadził przez tłum.

Najpopularniejszy bar, z którego korzystali cudzoziemcy robiący zakupy w Benissie, znajdował się przy głównym skwerze obok fontanny. Był to jednak hałaśliwy lokal, gdzie często trzeba było dzielić z kimś stolik, toteż Cam zdecydował, że poszukają spokojniejszego miejsca, gdzie mogliby posiedzieć sami.

- Kupiłem na targu jeszcze coś - powiedział, zamówiwszy kawę. Sięgnął do kieszeni i wyjął pudełeczko owinięte w kolorową bibułkę.

- Co to jest? - Wzięła od niego paczuszkę.

- Coś, co jest mi potrzebne przy okazji tej rozmowy z tobą.

Liz zazwyczaj otwierała prezenty ostrożnie, cierpliwie rozwiązując sznureczki i starając się nie rozerwać papieru, ale tym razem zrobiła to szybko. Kiedy zobaczyła, co jest w środku, aż wstrzymała oddech. Poza nadmuchowaną żabką, jedyną rzeczą na targu, która przykuła wzrok Liz na dłużej niż moment, była tania bransoletka z przezroczystych niebieskich i zielonych paciorków. Taka ozdóbka wyglądać mogła ładnie na opalonym nadgarstku młodej dziewczyny, ale do niej już nie pasowała. Było coś niezwyklego w fakcie, że Cam wybrał właśnie tę jedyną rzecz, która jej się spodobała.

- To zamiast zaręczynowego pierścionka - oznajmił, zapinając bransoletkę na jej nadgarstku. - Nie wiem, jakiego typu biżuterię lubisz, więc będziemy musieli wybrać go razem. A tymczasem noś tę błyskotkę. - Podniósł jej dłoń do ust i delikatnie ucałował.

Kelner podał kawę, szampana i przystawki. Liz położyła ręce na kolanach i spojrzała na delikatne paciorki. Miały kolor morza.

- Za nas! - Cam uniósł kieliszek.

- Za nas - powtórzyła. - Ale... Cam... Nie potrzebuję zaręczynowego pierścionka. Ta bransoletka wystarczy mi w zupełności.

Ściągnął brwi, niezadowolony, ale po chwili się rozchmurzył.

- Jak chcesz. Kiedy możemy się pobrać? Moim zdaniem im szybciej, tym lepiej. Marzę o cichym cywilnym ślubie, ale może chcesz zorganizować to inaczej.

- Nie. Też mi to odpowiada. Ale... Czy twoi rodzice będą na uroczystości?

- Może by i chcieli, ale mnie specjalnie nie zależy na ich obecności. Gdyby żyli dziadkowie, to co innego... Nie chcę oczywiście powiedzieć, że nie powinnaś zapraszać swojej mamy. Decyzja zależy do ciebie...

- Nie mogłabym zaprosić jej bez ciotki, a ta ściągnęłaby kuzynów. Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby nie przyjeżdżał nikt.

- A ja myślę, że powinniśmy przejechać się do Anglii i osobiście przedstawić sprawę naszym rodzinom - powiedział Cam. - Chciałbym jednak uniknąć zainteresowania ze strony mediów. Moje prywatne życie należy wyłącznie do mnie.

Milczeli przez chwilę, po czym Liz spytała:

- A jeśli już nie mogę mieć dzieci?

- To po prostu nie będziemy ich mieć.

- Żenisz się jednak również po to, żeby doczekać się potomka - przypomniała. - Kiedy ludzie się kochają, to co innego. Wiele planów może spalić na panewce, ale zawsze pozostaje miłość. My nie pobieramy się z miłości.

To układ, na który oboje przystajemy.

- Co oznacza, że inaczej niż zakochani marzyciele, nie oczekujemy cudu. Jeżeli nie ułoży nam się tak wspaniale, jak oczekujemy, przyjmujemy to spokojniej niż ci, którym się wydaje, że jest im pisane wyłącznie szczęście.

Tyle się napatrzyłem na życie ludzi w Afryce i krajach Trzeciego Świata, że bardzo mnie złością pewne zjawiska powszechne w naszej zachodniej kulturze. Drażni mnie na przykład to, że kobieta może być tak fanatycznie spragniona macierzyństwa, iż gotowa jest wydać tysiące funtów na to, by zająć w ciążę. Za te pieniądze dałoby się rozwiązać mnóstwo problemów, na przykład przywrócić wzrok tysiącom niewidomych ludzi w Indiach.

Po raz pierwszy Liz usłyszała w jego głosie taką zapalę żywość.

- Mężczyźnie - uśmiechnęła się - trudno jest zrozumieć, jak bardzo pewne kobiety pragną dziecka. Ja sama nie odczuwam aż tak silnej potrzeby. Podobnie jak ty uważam, że jeżeli zajście w ciążę staje się problemem, to trzeba to po prostu zaakceptować i zająć się czymś innym. Na pewno wiele osób wsparłoby różne wspaniałe przedsięwzięcia, gdyby miały pewność, że pieniądze naprawdę trafią do potrzebujących, a nie do skorumpowanych urzędników.

- Masz niestety rację... Żyjemy w chorym świecie... i może jest to jeszcze jeden powód, dla którego w osobistych relacjach warto być uczciwym. Ale wiesz co, mamy całe życie na rozpatrywanie poważnych tematów, a dziś pozwólmy sobie na chwilę wytchnienia. Myślałem o tym, żeby wybrać się w góry i zjeść lunch w hotelu, z którego roztacza się, jak mi mówiono, nadzwyczajny widok. Zakupy zostawimy po drodze w domu.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli włączę muzykę? - zapytał, gdy jechali doliną coraz bardziej na zachód.

- Nie, proszę. - Ciekawiło ją, jakiej muzyki lubił słuchać, gdy prowadził samochód. Domyślała się, że klasycznej albo jazzu.

Parę chwil później, zupełnie zaskoczona, rozpoznała głos Michaela Crawforda i „Muzykę nocy”. Potem rozbrzmiała piękna, śpiewana w duecie piosenka „Wszystko, o co cię proszę”. Liz oparła głowę i przymknęła oczy.

Cudowny tenor Crawforda i równie wspaniałe sopran wokalistki wprowadziły ją w świat romantycznych marzeń. Poczowała ucisk w gardle i piekące łzy pod powiekami. Miała nadzieję, że zaraz uda się jej wziąć w garść, lecz ledwie przebrzmiały ostatnie tony piosenki, Cam zahamował. Otworzyła zamglone jeszcze oczy i zobaczyła, że zatrzymali się na prostym odcinku szosy.

- Liz - odezwał się Cam - przepraszam, jeśli te melodie poruszyły w tobie bolesne struny. Bardzo je lubię, ale jeśli nie chcesz ich słuchać...

- Ależ chcę - odpowiedziała, łykając łzy.

- Jesteś jednak bardzo poruszona.

- Nie z powodów, o jakich myślisz. Po prostu łatwo się wzruszam.

- Nie podejrzewałem cię o to.

- Skąd mogłeś wiedzieć? Proszę cię... włącz.

Choć nie była to jeszcze pora kwitnienia migdałów, uprawy w lepiej osłoniętych miejscach na wzgórzach kwitły już na biało i różowo. Tu i ówdzie widać było plantacje pomarańczy. Ten widok zawsze budził w Liz radość. W takich chwilach była szczęśliwa, że nie musi uczestniczyć w miejskim wyścigu szczurów.

Hotel stał pod samym szczytem wzgórza, na skraju głębokiego wąwozu. Od wejścia roztaczał się widok na nadbrzeżną równinę. Budynek miał kamienny front, umiejętnie wkomponowany w krajobraz, a wokół, jak wszędzie w tych stronach, pachniało tymiankiem, lawendą i kwiatami pomarańczy.

Liz i Cam wypili drinka w barze, po czym przeszli do zarezerwowanego stolika w restauracji z wykończonymi cegłą łukami.

- Tę okolicę uważa się za ostatni bastion Maurów, którzy schronili się tu po wydaniu dekretu skazującego ich na wygnanie - powiedział Cam. - Można sobie wyobrazić, jak się czuli. Żyli w Hiszpanii przez siedem wieków. Ciężko pracowali, by ta ziemia stała się żyzna i piękna.

Przez dłuższy czas rozmawiali o wygnaniu Żydów i Arabów, którym kultura hiszpańska tak wiele zawdzięcza. Liz smakował lunch, Cam natomiast kręcił nosem zarówno na jedzenie, jak i na obsługę.

- W małych wiejskich knajpkach można wybaczyć niedociągnięcia, ale to jest lokal pierwszej kategorii i musi być oceniany według innych kryteriów. Nie przyjedziemy tu na miodowy miesiąc. Będziemy musieli wybrać jakiś pensjonat, chyba że wolałabyś spędzić ten czas poza Hiszpanią.

Domyślając się, że wyjazd za granicę nie byłby dla niego żadną frajdą, zaprzeczyła od razu.

- Nie, nie. Chemie pobędę tutaj. Ale nie znam żadnych ośrodków wypoczynkowych. A ty?

- Tylko trzy. Dwa bardzo nowoczesne - nad morzem w Javea, i w górach, pod szczytami Sierra Nevada. Z tego drugiego korzystają głównie narciarze. Trzeci pensjonat pamiętam z dzieciństwa. Mieści się w odrestaurowanym zamku nad Ebro. Zatrzymywaliśmy się tam z dziadkami, gdy odwozili mnie po wakacjach do szkoły w Anglii. Takich pensjonatów jest teraz mnóstwo, coś znajdziemy.

Wracali do domu inną drogą, niż przyjechali. Cam wybrał ją ze względu na przepiękne widoki.

- Czy moglibyśmy zatrzymać się na moment? - poprosiła Liz. Chociaż jechali bardzo wolno, zapragnęła wysiąść. Stanęli na poboczu i w absolutnej ciszy chłonęli otaczające ich piękno.

- Szkoda, że nie wzięłam aparatu fotograficznego - odezwała się Liz.

Cam nie odpowiedział, więc zerknęła na niego. Stał, oplatając się rękami, a gdy spotkali się wzrokiem, wyciągnął je do niej. Podeszła bliżej, ale zatrzymała się o krok przed nim.

- Pora, żebym cię wreszcie pocałował - powiedział.

- Już to zrobiłeś.

- Ale w innych okolicznościach. Teraz, jak to się mówi, jesteśmy po słowie...

Objął ją lekko w talii i przyciągnął do siebie. Liz położyła dłonie na jego piersi, wyczuwając ciepło i siłę. Chciała powiedzieć: „kocham cię”, ale wiedziała, że nie powinna. Nieodwzajemniona miłość mogła być tylko ciężarem dla drugiej osoby. Liz zamknęła oczy. Dotyk jego warg odurzył ją. Namiętny pocałunek mógłby trwać w nieskończoność, gdyby nie przejeżdżający traktor.

Cam nie wypuścił jej z objęć, lecz uniósł głowę. Objęci usłyszeli, że traktorzysta pozdrawia ich, przekrzykując warkot silnika, po czym hałas powoli ścichł. Maszyna przejechała dalej.

- Gdyby to było gorące popołudnie w Anglii, moglibyśmy znaleźć jakieś miejsce na trawie i kochać się w słońcu. Ale w Hiszpanii ziemia jest zbyt wysuszona... Jedźmy już - powiedział, obejmując Liz jedną ręką, a drugą otwierając samochód.

U stóp wzgórza musieli przejechać wyboistym korytem wyschniętej rzeki, a potem dotrzeć kamienistym zboczem na główną szosę. W

drodze powrotnej Cam włączył prześliczny „Concierto de Aranjuez” - koncert na gitarę i orkiestrę autorstwa hiszpańskiego kompozytora Joaquina Rodriga. Część tego koncertu Liz słyszała podczas swego pierwszego pobytu w Hiszpanii, a później poznała związaną z nim poruszającą historię. Rodrigo, który zmarł w 1999 roku w wieku 97 lat, zachorował jako trzyletnie dziecko na dyfteryt. Stracił wtedy prawie całkowicie wzrok, ale zdobył wykształcenie muzyczne i został kompozytorem, a jego najśłynniejsze dzieło poznał cały świat.

W Valdecarrasca Cam nie podjechał do swej willi, ale zatrzymał się przed domkiem Liz.

- Przyniosę twoje rzeczy. Zaraz wracam – powiedział z uśmiechem.

Czy miało to oznaczać, że chciał zostać z nią przez resztę dnia? Do czego to mogło doprowadzić? Czy była na to przygotowana? Na pocałunek - tak. Ale na więcej?

Nie miała pewności.

Pojawił się z zakupami dopiero po pół godzinie.

- Przepraszam, że musiałaś czekać. Kiedy otwierałem drzwi, zadzwonił telefon. Dopiero przed chwilą skończyłem rozmawiać.

Chociaż Liz nie opuściło zdenerwowanie, czuła, że wypada zaprosić Cama na herbatę.

- Dziękuję. Chętnie się napiję.

Napełniała kolejne filiżanki, a Cam pił i opowiadał zabawne historijki. Liz zaczynała się powoli uspokajać. Nie flirtował z nią, więc chyba niepotrzebnie wpadła w panikę. No, może panika to za dużo powiedziane, ale była zdenerwowana. O wiele bardziej niż przeciętna kobieta po trzydziestce, która spodziewa się, że nim zajdzie słońce,

znajdzie się w łóżku z upragnionym mężczyzną, a w dodatku własnym narzeczonym. Było tak, ponieważ...

- Muszę się brać do roboty - przerwał jej rozmyślenia Cam, podnosząc się z krzeselka. - Nie mam jeszcze materiałów do swego programu. Idę. - Postawił filiżankę na tacy. - Zniosę to na dół, a ty posiedź jeszcze i odpocznij.

- Po tak obfitym lunchu nie musimy jeść dużej kolacji - powiedziała spontanicznie Liz. - Może wpadłbyś o siódmej na sałatkę?

- Z największą przyjemnością. Na razie. - Zabrał tacę i zszedł na dół zewnętrznymi schodkami.

Chyba naprawdę zwariowałam, pomyślała Liz. Czy jakkolwiek mężczyzna zaproszony na kolację uznałby, że nie jest to równoznaczne z zaproszeniem na noc?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Amor, tos y dinero llevan cencerro.

Miłości, kaszlu i pieniędzy nie da się ukryć.

Z okna gabinetu Cam zobaczył, że Liz wstała, popatrzyła na oświetlone słońcem winnice i powoli zeszła na dół. Nie miała pojęcia, jak trudno mu było skierowywać rozmowę na tematy zawodowe. To była jedyna rozsądna wymówka, żeby rozstać się z Liz, chociaż miał ochotę zostać i całować ją do utraty tchu, a potem.... Możliwość, że ktoś by ich podejrział, była niewielka. Nie tym się zresztą przejmował, na temat ich znajomości zapewne już huczało od plotek. Powstrzymywało go raczej instynktowne odczucie, że fizyczne zbliżenie z Liz wymaga specjalnej oprawy.

Po pierwsze, minęły cztery lata, od kiedy po raz ostatni spała z mężczyzną. Po drugie, miała tylko jednego partnera. A po trzecie - nie kochała go, a dla kobiety jej pokroju miało to podstawowe znaczenie. Biorąc to wszystko pod uwagę, musiał się bardzo postarać, żeby zbliżenie się udało. Gdyby zabrał się do tego niewłaściwie, zniszczyłby ich związek.

Nie miał wprawy w postępowaniu z kobietami niedoświadczonymi i spiętymi. Pragnął Liz, od pewnego czasu coraz mocniej. Jednakże, jeśli mieli spędzić życie razem, musiał póki co trzymać żądze na wodzy i przedkładać potrzeby partnerki nad własne. Czy byłby w stanie kontrolować się dzisiejszego wieczoru, pozostawało sprawą otwartą. Zaczynał go podniecać już sam jej uśmiech, sposób, w jaki zakładała nogę na nogę, czy zwykły gest ręki. Miał ochotę porwać ją

w ramiona. A to, naturalnie, zniweczyłoby natychmiast jego dotychczasowe zabiegi.

Chciał, by czuła się w jego towarzystwie swobodnie.

Zapamiętał rozmowy ze swoją babcią na temat jej ulubionego musicalu „My Fair Lady”. Była na premierze w 1956 roku. Pod koniec życia zapominała o chorobie, oglądając filmową wersję na wideo. Często oglądał musical razem z nią i zawsze rozmawiali potem o narzekaniach profesora Higginsa: „Dlaczego kobieta nie może być bardziej podobna do mężczyzny?”.

- Problem w tym, że współczesne dziewczyny upodabniają się do mężczyzn - wzdychała babcia. - Za bardzo, jak na mój gust. Młodzi mężczyźni jak świat światem zachowywali się arogancko i wyzywająco, ale dziewczyny nie powinny się na nich wzorować.

Kiedy Cam podkreślał, że męskie przygody nie mogłyby mieć miejsca bez zgody kobiet, babcia odpowiadała z typowym dla jej wieku uporem:

- To róbcie to sobie ze starszymi, ale nie z dziewczynami, z którymi zamierzacie się żenić.

Mimo jej staroświeckich poglądów, Cam pozostawał pod wpływem babki. Cokolwiek by mówić, ona i dziadek stanowili naprawdę szczęśliwą parę. Pod wieloma względami Liz przypominała mu babkę. Na pewno by się polubiły. Czy spodoba się jego rodzicom, nie potrafił przewidzieć. Ich opinia mało go obchodziła, ale dla niej mogła mieć znaczenie.

Liz tymczasem odpoczywała w pachnącej kąpieli. Fizycznie odprężyła się, próbowała też, z miernym skutkiem, zrelaksować się psychicznie. Zrobiła sobie manicure i nałożyła na twarz maseczkę odżywczą. Zazwyczaj poświęcała tyle czasu zabiegom

pielegnacyjnym tylko w niedzielę, ale dziś czynności te pozwoliły jej wypełnić czas. Kilka minut po siódmej usłyszała stukanie kołatki.

Poszła wpuścić Cama.

Po zmroku zrobiło się chłodniej, więc rozpałała w kominku i włożyła długą wełnianą spódnice i krótki, obcisły, jasnoniebieski sweterek z angory.

- Czego się napijesz? Usiądź, proszę. - Wskazała fotel przy kominku, kupiony, jak większość mebli, od Beatrice Maybury.

- Wina... czerwonego, jeśli masz.

Domyślając się, że będzie chciał napić się czerwonego wina do posiłku, już wcześniej otworzyła butelkę. Stał jeszcze, przyglądając się kopii obrazu, którą powiesiła nad kominkiem, gdy podała mu kieliszek. Usiadł dopiero wtedy, gdy sama zajęła miejsce.

- Jak sobie radzisz z drzewem na opał? - zapytał.

- Chodzi ci o to, co robię, gdy trzeba je przenieść z ulicy do ogródka za domem? Pani Maybury nie wspominała o tym, a ja zapomniałam zapytać. Nigdy przedtem nie mieszkałam w domu bez ogrzewania. - Liz roześmiała się. - **Caveat emptor** - niech się martwi ten, co kupuje. Mam szczęście, że był to jedyny ukryty mankament. Mogłoby być znacznie gorzej. Dźwiganie drewna to ciężka robota, ale dwie tony, które zgromadziłam, wy- starczą na długo.

- Nie będziesz już tego robiła. Po ślubie noszeniem drewna i rozpalaniem kominka zajmę się ja.

- Myślałam, że zapłaciłeś komuś, żeby to robił.
Pokręcił głową.

- Lubię rąbać drewno. Patrząc potem na równo ułożony stos i odczuwam jakąś dziwną satysfakcję. Uwielbiam też rozpałać ogień. To prawdziwa sztuka.

- Ale ty chyba jej nie znasz.

- Mężczyźni w większości mają w sobie coś ze skautów. Chociaż ja skautem nigdy nie byłem. A ty?

- Nie. Chodziłam na lekcje tańca. Moja mama marzyła o tym, żeby zostać tancerką. Swoje niezaspokojone ambicje przeniosła na mnie. Chciała, żebym należała do szkolnego kółka tanecznego, które uświetniało wystęпами imprezy charytatywne. Ale ku jej rozczarowaniu nie zostałam wybrana. Okazałam się za mało uzdolniona, choć lubiłam tańczyć.

- Pamiętasz kroki? Pokaż coś.

Liz zawahała się, ale wstała, uniosła spódnicę do połowy łydek i odtńczyła krótki fragment, który zapamiętała. Czasem tańczyła w kuchni, czekając, aż zagotuje się woda.

- Chciałbym zobaczyć, jak to robisz w czarnych siatkowych pończochach - powiedział Cam. - Umiesz tańczyć kankana?

- Umiałam, kiedy miałam dwanaście lat, ale teraz nie zaryzykuje.
- Ze śmiechem opuściła spódnicę. - Przepraszam na moment. Wstawię coś do piecyka.

- Miała być tylko sałatka...

- Będzie i sałatka, ale pomyślałam, że mała gorąca przekąska dobrze nam zrobi.

Kiedy wróciła z kuchni, poprosiła, żeby pomógł jej przenieść stół na środek pokoju. Bez prośnienia Cam przeniósł też dwa proste krzesła.

- Świetnie. Posiedź tu, a ja zaraz przyniosę jedzenie. Zrobiłam zapiekankę z boczkiem. Lubisz?

- Lubię. A co jest pod boczkiem?

- Kawałki banana... Zrobiłam też kanapki z anchois i sosem czosnkowym.

Entuzjazm Cama przerósł jej najśmielsze oczekiwania. Nie mógłby być sympatyczniejszy, nawet gdyby mnie kochał, pomyślała. Było to jednak wyłącznie pobożne życzenie i nie wolno jej było o tym marzyć. Musiała stać mocno na ziemi i przypominać sobie raz po raz, że to wyłącznie dobre maniery, a nie uczucie sprawiają, że Cam jest tak miły.

Owocowa sałatka wyglądała niezwykle. Liz wymieszała truskawki i agrest z kawałkami owocu granatu, a zamiast śmietanki użyła twarożku.

- Czy wiesz, że owoc granatu jest symbolem Hiszpanii? - zapytała. - Granat z koroną był znakiem Katarzyny Aragońskiej.

- Skąd wiesz?

- Dowiedziałam się o tym, badając w czasie nauki w college'u historyczne tkaniny. Stylizowany owoc granatu pojawia się na wszystkich materiałach. Granaty znajdują się też na tamtej kopii elżbietańskiej robótki. To moja praca egzaminacyjna.

Cam wstał i podszedł do oprawionego kawałka haftu.

- Masz tyle zainteresowań... Lubisz tańczyć, jesteś projektantką dekoracyjnych tkanin, znasz się na hafcie. Czego jeszcze się o tobie dowiem?

Przebiegł ją nagły dreszcz. A co będzie, jeśli okaże się beznadziejna w łóżku?

- Na pewno mniej niż ja o tobie - odparła, siląc się na wesołość, - Żyłś ciekawiej niż ja. Nigdy nie byłam nigdzie poza Europą...

- A właśnie... Może po kolacji obejrzelibyśmy w Internecie stronę z ofertami turystycznymi. Trzeba się zdecydować, dokąd pojedziemy w

podróż poślubną. No tak, byłbym zapomniał. Dowiadywałem się, czy możemy wziąć ślub w Hiszpanii i nie sądzę, żeby to było możliwe. W brytyjskich konsulatach nie ma takiej możliwości. Najprościej będzie załatwić to w Londynie.

- Czy to, że mieszkam obecnie w Hiszpanii, może komplikować sprawy?

- Tak. Ja do tej pory nie mieszkałem tutaj wystarczająco długo, żeby mogli mnie uznać za rezydenta. Co za biurokracja...

Po kolacji przeszli z kawą i winem do pokoiku z komputerem. Już na schodach Liz uświadomiła sobie, że zostawiła drzwi do sypialni otwarte. Co też pomyśli sobie Cam? Może uzna, że zrobiła to celowo?

Ubiegłym razem, gdy siedzieli obok siebie przy laptopie, czuła się tak nieswojo, że skorzystała z pretekstu, żeby odejść. Tym razem była również bardzo poruszona. Włączyli komputer i chwilę później ukazała się mapa z zaznaczonymi ponad osiemdziesięcioma pensjonatami.

- Pokażę ci, gdzie się zatrzymywałem. - Położył dłoń na jej ręce kierującej myszką i przesunął kursor w stronę miejscowości na północno-wschodnim wybrzeżu.

- Kliknij - powiedział, nie odsuwając ręki. Poczowała, jak krew pulsuje jej w skroniach.

- Zamieńmy się miejscami i ty kliknij.

- Dobrze mi tak, jak jest. A tobie nie?

Po tonie jego głosu rozpoznała, że patrzy na nią i uśmiecha się. Nagle położył drugą rękę na jej ramieniu i koniuszkami palców musnął miękki sweterek.

- Bardzo miły w dotyku.

- Mieliśmy zrobić sobie wędrowkę po pensjonatach - odpowiedziała schrypniętym głosem.

- Chętniej powędrowałbym po tobie - odparł, opuszczając rękę wzdłuż linii jej pleców i przesuwając ją powoli po brzuchu na pierś.

Wstrzymała oddech. Nie była w stanie zrobić nic. Jak zahipnotyzowana czekała na to, co się stanie. Cam tymczasem całował jej szyję tuż przy uchu.

- Pięknie pachniesz - wymruczał i odwrócił jej twarz ku swojej. Całował jej usta i delikatnie pieścił pierś, a Liz myślała, że rozniosą ją emocje i że Cam na pewno wie, co się z nią dzieje.

- Daj spokój - szepnęła w chwili, gdy napięcie stało się wręcz nie do zniesienia.

- Masz rację... dajmy temu spokój – powiedział i odsunął się. - Jeśli mamy zarezerwować sobie te przyjemności na miodowy miesiąc, zastanówmy się lepiej, gdzie go spędzić. Im szybciej, tym lepiej, nie uważasz?

Odlatywali do Anglii z Walencji, z lotniska, które inaczej niż pełne imigrantów i wycieczkowiczów Alicante służyło głównie Hiszpanom, w większości zamożnym ludziom podróżującym po Europie w interesach. Lecieli w klasie biznes, co dla Liz, nawykłej do niewygodnych podróży w klasie ekonomicznej, było luksusem.

Na Heathrow czekał na nich samochód z szoferem. Zawiózł ich do mieszkania w centrum Londynu, gdzie tego wieczoru, na specjalnym przyjęciu obsługiwanym przez firmę cateringową, spotkać się mieli z najbliższą rodziną Cama. Mieszkanie mieściło się w bloku nad Tamizą. Widok

na rzekę z okien ogromnego salonu sprawiał, że nie czuło się atmosfery wielkiego miasta.

- Za radą babci kupiłem to mieszkanie, kiedy tylko mogłem sobie na to pozwolić - powiedział, oprowadzając po nim Liz. - Jeśli ci się spodoba, zatrzymamy je.

Otworzył przytulny pokój z dwoma łózkami.

- Na razie ulokuj się tutaj. Mój pokój to ten z oknem na Tamizę, a w trzecim jest gabinet. Od kiedy moje siostry i ich dzieci korzystają z tego mieszkania, stoi w nim kanapa. Powiedziałem im, że dziś nie będą się tu mogli zatrzymać.

- Czy nie uznają tego za dziwne? Przecież zwykle...

- ...ludzie, którzy mają się pobrać, korzystają ze wspólnego pokoju - dokończył za nią. - To, jak i gdzie śpimy, jest wyłącznie naszą sprawą, a po trzech czy czterech godzinach ich towarzystwa będziesz szczęśliwa, że wychodzą. Z różnymi ludźmi ciężko wytrzymać, chociaż myślę, że z Mirandą znajdziesz wspólny język... Muszę tu i ówdzie zadzwonić, przepraszam, a potem wyjdę na jakąś godzinę.

Pozostawiona samej sobie, Liz rozejrzała się wokół. Pokój gościnny był urządony ze smakiem, czuło się rękę dobrego dekoratora, ale brakowało tu tej domowej atmosfery, jaką emanowała *La Higuera*.

Liz wyszła z pokoju, w którym ją zostawił, dopiero na pół godziny przed przyjściem gości. Miała na sobie tę samą sukienkę, w której wystąpiła na przyjęciu u Drydensów, ale włosów nie rozpuściła, lecz zaplotła je we francuski warkocz.

Pracownicy firmy cateringowej od dawna krzatali się w kuchni, ale Cam wciąż się nie pojawiał. Długi stół nakryty został na dwanaście osób. W wazonach były pięknie ułożone kwiaty.

- Czy podać pani szampana? - Z kuchni wyszła młodziutka dziewczyna w czarnej sukience.

- Poproszę.

Upiła pierwszy łyk, gdy wreszcie zjawił się Cam. Był w ciemnoszarym garniturze i jasnopopielatej koszuli. Włosy miał jeszcze wilgotne po kąpieli, jak wtedy, gdy się poznali. Ogarnął ją spojrzeniem.

- Bransoletka z jarmarku pasuje twoim zdaniem do tej sukienki? - zapytał przekornie.

- Jak najbardziej. Wygląda bardziej romantycznie niż diamenty.

- Diamenty są odpowiednie dla królowych albo matron. Wydaje mi się, że to będzie bardziej w twoim stylu... - Wyjął z kieszeni wyściełane aksamitem, smukłe zamszowe etui, w którym znajdował się sznur błękitnych kamieni, - Potrzymaj. - Zdjął z jej ręki jarmarczne paciorki, wyrzucił do kosza na śmieci, a następnie zastąpił je bransoletką z akwamarynów.

- Dziękuję, jest piękna - powiedziała Liz. - Chciałabym jednak zachować i tamtą. To był twój pierwszy prezent dla mnie. Moglibyśmy przynajmniej udawać normalną parę, nie sądzisz? - Zajrzała do kosza, na którego dnie spoczęła hiszpańska bransoletka. - Zabieram to.

Zniechęciła jego matkę od pierwszego wejrzenia, i było to chyba uczucie odwzajemnione. Pani Nightingale, jak nazywała się obecnie, była wysoką kobietą o ostrym spojrzeniu i skrzywionych ustach.

- Szalenie nam zależało, żeby cię poznać - powiedziała wyniośle, gdy podały sobie ręce. - Cameron tak długo zwlekał z małżeństwem, myśleliśmy już, że nigdy się nie ustatkuje. Mam nadzieję, że wiesz, co cię czeka.

Dziennikarze są jeszcze gorszymi mężami niż dyplomaci. Nigdy nie będziesz pewna jutra.

Liz zareagowała uśmiechem.

- Ale też nigdy nie zaznam nudy, co, jak sędzę, jest o wiele ważniejsze - odpowiedziała żartobliwie.

Pan Fielding zachował się taktowniej od swej byłej żony. Złożył synowi gratulacje i starał się być sympatyczny dla Liz. Kiedy zasiedli do kolacji, Liz uzmysłowiła sobie, że porządek, w jakim siedzieli, został starannie przemyślany. Cam umieścił swoich rodziców i ich nowych życiowych partnerów po przeciwnych stronach stołu. On sam i Liz siedzieli naprzeciw siebie w jego centralnej części. Po obu jej bokach zasiedli jego przyrodni bracia, a on miał z obu stron swoje siostry. Trzecia siostra znalazła się obok matki, a przyrodni brat obok ojca. Liz dzieliły więc od przyszłej teściowej dwa miejsca, miała za to blisko Mirandę, siostrę Cama najbliższą mu wiekiem i temperamentem. Mimo to czuła się dość niepewnie. Wszyscy ci obcy ludzie poddawali ją ocenie i chociaż Cam świetnie udawał, nie był w stanie jej oszukać. Nie podobała się jego rodzinie, a on jej nie kochał.

Przed zaśnięciem Liz usiłowała trochę poczytać, ale wciąż wracała myślą do minionego wieczoru. Myślała też o Camie i o tym, dlaczego śpią oddzielnie, podczas gdy w dzisiejszych czasach ludzie uprawiali seks w parę godzin po poznaniu. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby poszła do niego i powiedziała, że nie może zasnąć.

Cam siedział w łóżku nago, z podciągniętą do pasa kołdrą i laptopem na udach. Czytał dwutygodnik, którego drukowane wydanie rozsyłano do ponad trzydziestu tysięcy właścicieli firm w USA. Tematem publikacji były badania dotyczące wykorzystania metod biznesowych stosowanych w świecie zmienionym przez technologię. Magazyn ten Cam czytywał regularnie, ale dziś jakoś nie bardzo go zainteresował, toteż szybko zmienił temat lektury. W artykule poświęconym tak zwanej wojnie płci natknął się na ciekawe zdanie. ***Jeśli mieszkałbyś w gorzelni, to weekend z abstynentami mógłby być doprawdy ekscytującym przeżyciem*** - pisał dziennikarz -mężczyzna.

Cam uświadomił sobie nagle pewną analogię między tym sarkastycznym stwierdzeniem a własną sytuacją. Przecież był zachwycony, że Liz nie miała kochanków ani pewności siebie, którą w sferze seksu demonstrowało tak wiele współczesnych kobiet.

Było czymś znamionym, że wyjęła z kosza na śmieci taniutką bransoletkę i chciała ją zatrzymać, podobnie jak to, że w ogóle założyła ją do wieczorowej sukni. „Moglibyśmy przynajmniej udawać, że jesteśmy normalną parą” - powiedziała z wyrzutem w oczach. Miał wtedy ochotę ją pocałować. Liz działała na niego jak prezenty, które dziadkowie kładli pod choinkę, gdy spędzał u nich święta prezenty, których rozpakowania nie mógł się doczekać. W życiu nie pragnął niczego tak jak tej kobiety. Tyle że dla niej miał to być drugi ślub w życiu i drugi miodowy miesiąc. Wszystko miało przypominać jej ten pierwszy raz i męża, którego kochała całym sercem.

Rano, gdy Liz weszła do kuchni, zastała Cama przy śniadaniu.

- Spałaś dobrze? - spytał, podnosząc się.

- Tak - skłamała. - A ty?

- Zawsze sypiam dobrze. Chcesz herbatę czy kawę?
- Herbatę, proszę, ale nie przerywaj sobie. Sama się sobą zajmę. Przepraszam, że zasnęłam. Trzeba było do mnie zastukać.
- Pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jak sobie dłużej poleżysz. Zjesz jajecznicę? To moja specjalność.
- A mogłabym spróbować jej kiedy indziej? Pojedziemy gdzieś na lunch, więc wystarczy mi tost z dżemem truskawkowym.

Siedząc po raz pierwszy z Camem przy śniadaniu, przypominała sobie setki śniadań, jakie szykowała Duncanowi. Jadł zawsze w milczeniu i czytał gazetę. Nigdy nie rozmawiali ze sobą dużo przy posiłkach. W ogóle mało ze sobą rozmawialiśmy, pomyślała z żalem.

Cam mówił przez cały czas. Zrelacjonował jej wiadomości z wydania internetowego, a potem podał wydruk artykułu o słynnej hafciarce.

- Ładnie, że o mnie pomyślałeś - podziękowała.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

Nawet o tak wczesnej porze jego uśmiech sprawiał, że działa się z nią coś niezwykłego.

Dopiero gdy byli gotowi do drogi na przedmieścia Londynu, odkryła, że przywiózł z Hiszpanii dwa eleganckie pudełka *turon*, słodczy wyrabianych w prowincji, w której mieszkali, jadanych przez cały rok, ale szczególnie popularnych podczas Bożego Narodzenia.

- Mówiłaś, że twoja mama i ciotka kochają słodczy - przypomniał.
- Nie spodziewałam się jednak, że będziesz o tym pamiętać.
- Zależy mi na tym, żeby mnie polubiły, zamówiłem też kwiaty. Są u portiera. Zabierzemy je, kiedy będziemy zjeżdżać do garażu.

Liz nie zdawała sobie sprawy z tego, że budynek ma podziemny garaż i że Cam trzyma tam swój samochód. Przypuszczała, że w Londynie korzystał z taksówek lub wynajmował samochód z szoferem. Kiedy mu to powiedziała, uśmiechnął się.

- Myślałaś, że nigdy nie odwiedzam angielskich przyjaciół?
- Wydawało mi się, że większość czasu przebywałeś za granicą.
- Owszem, ale zdarzały się dłuższe przerwy w wyjazdach.

Liz czuła, że to głupie, ale wstydziła się kiczowatych ozdób, które ojciec kupił do ogrodu i nicianych firaneczek, jakie wybrała matka. Nie cierpiała się za te uczucia, ale nic na to nie mogła poradzić.

Cam cicho zaparkował samochód, nim otworzyły się drzwi i jej matka i ciotka podeszły do nich ścieżką. Na ich twarzach malowało się podniecenie i onieśmienie.

Liz nigdy się nie spodziewała, że lunch w hotelu przebiegnie w tak swobodnej i pogodnej atmosferze. Przy głównym daniu, kiedy aperitify i białe wino zdążyły zarumienić upudrowane policzki obu pań, Cam zagadnął kordialnie:

- Pani Bailey... a może wolno mi zwracać się do pani po imieniu?
- Naturalnie, kochany. Niedługo będziemy rodziną. Czy ustaliliście już datę ślubu? Może czerwiec?
- Właśnie, Maureen... Waśnie o tym chciałbym pomówić. Liz i ja pragniemy pobrać się jak najszybciej. Rzecz w tym, że jeśli zaprosimy ciebie i ciocię Sue, będziemy zmuszeni zaprosić też moją rodzinę. Chciałbym tego uniknąć. Marzymy o tym, żeby ślub odbył się po cichu. Potem, za jakiś czas, wydamy duże przyjęcie dla wszystkich znajomych, ale teraz wolelibyśmy, żeby podczas ceremonii towarzyszyło nam

wyłącznie dwoje świadków. Wiem, jaki to dla was zawód. Mam jednak nadzieję, że po przemyśleniu całej sprawy na spokojnie, przyznacie mi rację.

Siostry spojrzały na siebie. Na ich obrzmiałych twarzach malowało się wielkie rozczarowanie. Liz wydało się raptem, że od świąt obie przybrały na wadze.

- Chcielibyśmy jednak - wtrąciła bez zastanowienia - wynagrodzić wam jakoś ten zawód. Pomyśleliśmy, że kiedy pojedziemy w podróż poślubną, wy obie mogłybyście spędzić tydzień na farmie zdrowia i urody. Ty, mamusiu, zawsze chciałaś wybrać się na taki urlop.

Wiedziała, że to bardzo uszczupli jej konto, ale takie załatwienie sprawy było najlepsze.

- Och, to cudowne. Sue, nie uważasz? - Matka rozpromieniła się.

Pod koniec lunchu siostry chichotały i były bardzo ożywione. Liz nigdy ich takich nie widziała. Miała pewność, że na widok ich podchoconych twarzy pani Nightingale byłaby przerażona.

Po wyjściu z hotelu odprowadzili panie do domu.

- Napijemy się herbatki? - zaproponowała nieśmiało matka Liz.

- A może przygotowaniem zajęłyby się Liz i ciocia Sue? Chciałbym obejrzeć wasz ogródek - odparł Cam, biorąc przyszłą teściową pod rękę.

W ogrodzie zaczęła mu opowiadać o nagrodach, jakie jej sąsiad dostał na wystawie kwiatów.

- Czy twój zięć lubił zajmować się ogrodem? - wtrącił Cam.

- Duncan? Ależ skąd! - Ogrodem opiekowała się wyłącznie moja córka. Duncana interesowała numizmatyka i sport. Całymi godzinami oglądał mecze. Liz to nie obchodziło. Woląca czytać niż oglądać telewizję. Inaczej niż

jej mamusia, niewolnik szklanego ekranu, prawdziwy nałogowiec. Tak mnie nazywa - roześmiała się i nagle sposepniała. - Taka tragedia... żeby tak się utopić... Biedna Liz, była w okropnym szoku. Ale teraz to już przeszłość. Przeszłością nie da się żyć...

- To prawda - przytaknął skwapliwie Cam. – Mam nadzieję, że przyjedziesz kiedyś do nas z Sue i pobędziecie troszeczkę dłużej.

- Z największą przyjemnością. Mam wyrzuty sumienia, bo nigdy nie wybrałam się do Liz, ale prawdę mówiąc, boję się latać samolotem. To niemądre, wiem, ale tak jest. Będę musiała jakoś się przemóc.

- Mnóstwo ludzi nie lubi latać. Ktoś, kogo zapewne znasz z widzenia - wymienił nazwisko prezentera telewizyjnego - przeleciał tysiące kilometrów i wciąż tego nie znosi.

- Naprawdę? Taki wspaniały człowiek... Zawsze go podziwiałam.

Wyglądając przez okno, Liz zastanawiała się, o czym Cam tak długo rozmawia z matką. Później, gdy wracali do centrum, zapytała go o to.

- Och... o tym i o owym - odparł trochę wymijająco. - Zaprosiłem ją i ciotkę Sue do nas do Hiszpanii. Swoją drogą, to świetny pomysł, żeby wysłać je na farmę piękności. Nie będą miały żalu, że nie były na ślubie.

- Ty się w to absolutnie nie angażujesz, pamiętaj. Nie ma potrzeby. Poradzę sobie finansowo.

- Takie wczasy słono kosztują. Chciałbym mieć w tym swój udział. Co moje, to i twoje, i odwrotnie. Zgoda?

- Zasada teoretycznie jest właściwa, ale ty zarabiasz znacznie więcej...

- Nie zawsze tak musi być. Kto wie, czy w przyszłości nie będziesz musiała mnie utrzymywać - powiedział z uśmiechem.

Rano w dniu ślubu Liz obudził dzwonek budzika. Uroczystość w urzędzie stanu cywilnego miała się odbyć wcześniej, a zaraz po niej lecieli do Madrytu, aby stamtąd samochodem dojechać do pensjonatu, w którym zdecydowali się spędzić miodowy miesiąc. Przez parę chwil Liz wspominała ów dzień sprzed siedemnastu lat, kiedy na drzwiach szafy wisiała biała suknia ślubna, a na toaletce leżał stroik z białych jedwabnych kwiatków. Matce tak bardzo zależało, żeby córka miała najwspanialsze wesele, a ona sama czuła się jak księżniczka.

Pukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia.

- Wejź.

- Śniadanko dla panny młodej - powiedział Cam, wchodząc z tacą. Był w dżinsach i obcisłym T-shircie.

- Dzień dobry. Ale luksusy! - Liz usiadła. Miała na sobie bawełnianą nocną koszulę z białym haftem przy szyi. Bardziej seksowna bielizna, spakowana w walizce, czekała na noc poślubną.

- Nie masz żadnych wątpliwości? Żadnych lęków? - zapytał, siadając przy jej stopach.

- Najmniejszych. A ty?

- Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć do ciebie: „żono” i... uczynić cię naprawdę moją. - Ogarnął ją tak gorącym spojrzeniem, że aż ją to zdumiało. Gdy cisza przedłużała się, wstał energicznie z łóżka.

- Mam sporo spraw do załatwienia. Na razie. ***Buen provecho!***

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, zdjęła z kolan tacę i pobiegła umyć zęby. To moja ostatnia samotna noc, pomyślała, tak samo jak siedemnaście lat temu. Tyle że wtedy aż paliła się do pożegnania z dziewictwem, ciekawa, jak to będzie, jak przebiegnie ów tajemniczy akt połączenia, tak często opisywany, lecz rozumiany w pełni wyłącznie przez tych, którzy go doświadczyli. Przypominając sobie tamto pierwsze doświadczenie, doznała uczucia paniki, ale uzmysłowiła sobie, że Duncan nie miał przed nią dziewczyny, a Cam jest mężczyzną, który wie o seksie bardzo dużo. Przynajmniej tak sądziła. Przed laty poszło źle... i to nie tylko za pierwszym razem. Czy teraz będzie inaczej? Czy wtedy była to jej wina? Czy było z nią coś nie tak? Czy dzisiejsza noc okaże się cudownym przeżyciem, czy kolejną katastrofą?

TLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tanto es amar sin ser amado como responder sin ser preguntado.

Miłość bez wzajemności jest jak odpowiedź, gdy nikt nie pyta.

Z madryckiego lotniska w Barajas do XVI-wiecznego zamku, gdzie mieli się zatrzymać, jechało się samochodem dwie godziny.

- Tak się cieszę, że jesteśmy znowu w Hiszpanii - powiedziała Liz, gdy wyjechali za przedmieścia stolicy i zapachniało wsią. - Czuję się tu bardziej u siebie niż w Londynie. Nie chcę powiedzieć, że mieszkanie u ciebie nie sprawiło mi przyjemności, ale...

- Wiem dokładnie, o co ci chodzi - przerwał Cam. - Londyn, jak wszystkie metropolie, nadaje się świetnie na krótkie wypady, ale nie ma w nim tego, co jest solą życia. W głębi duszy jestem wiejskim kmiotkiem.

- Ty kmiotkiem? - roześmiała się Liz. - Gdybym cię nie znała, wzięłabym cię za hiszpańskiego granda, chociaż ci, których widziałam na zdjęciach, byli niscy i prezentowali się bardzo zwyczajnie. Jedyny, który zrobił na mnie wrażenie, nawet nie dorastał ci do pięt.

Zerknął na nią wesoło, a po chwili ujął jej lewą dłoń i podniósł do ust. Zdobiła ją teraz obrączka, którą wybrał. W szerokie płaskie kółeczko z matowego złota wtopione były szafirki i akwamaryny. Obrączka wyglądała nowocześnie, a zarazem

przypominała biżuterię noszoną przez żony i nałożnice książąt w okresie renesansu.

- Dziękuję, pani Fielding - powiedział. – Chyba przesadziłaś nieco w ocenie mojej osoby, ale czemu nie? To dzień naszego ślubu. Gdybyśmy dziś nie patrzyli na siebie przez różowe okulary, to co by było za dwadzieścia lat? Strach pomyśleć...

Ograniczył się do kieliszka szampana przed lunchem i jednego do posiłku w samolocie, lecz Liz wypiła znacznie więcej. Tym właśnie tłumaczyła sobie swoją rozmowność i świetny nastrój. Kiedy jednak zjechali z autostrady, mniej więcej w połowie drogi do celu, znów ogarnęła ją niepewność. Z pozoru cała ta wyprawa miała znamiona idylli. Ale problem nie zniknął, a Liz była coraz bardziej spięta.

Gdy ich oczom ukazał się zamek, Liz miała przez moment wrażenie, że to ilustracja z bajki. Zamek stał na wzgórzu, jego mury i wieżyczki odcinały się na tle lazurowego nieba. Droga dojazdowa biegła w górę serpentynami aż do mostka nad jarem. Wjechali do zamku bramą o łukowym sklepieniu i znaleźli się na dziedzińcu, obecnie służącym za parking.

Kiedy Cam otwierał bagażnik, wyszedł do nich młody mężczyzna, chyba jeszcze nastolatek, żeby pomóc przenieść bagaż.

Klimat starego zamku mieszał się z atmosferą luksusowego hotelu. Cam okazał paszport i zameldował się. Potem zawieziono ich windą na najwyższe piętro, przeszli korytarzem i wspięli się po kamiennych schodkach. Apartament miał przestronny hol, prowadzący do salonu, z którego przechodziło się do sypialni ze staroświeckim szerokim łóżem. Obok znajdowała się łazienka.

Gdy Cam rozmawiał z portierem, uwagę Liz przyciągnął widok z okna salonu. Apartament mieścił się w wieży. Jedno z okien

wychodziło na ogród, a z drugiego widać było duży basen, połyskujący w popołudniowym słońcu.

- Cudny, żeby ochłodzić się latem, ale teraz woda jest chyba za zimna - odezwał się Cam, spoglądając w dół znad ramienia Liz.

Portier wyszedł. Zostali sami.

- Zamówiłem herbatę. A póki co... - Odwrócił ją ku sobie, ujął jej twarz w dłonie i pocałował najpierw w kąciki, a potem w same usta. Był to jednak raczej czuły niż namiętny pocałunek. Cam wyprostował się, uśmiechnął i otoczył Liz ramieniem. - To jedna z najwspanialszych chwil w życiu - powiedział. - Właściwe miejsce, odpowiednia osoba i nic do roboty, tylko cieszyć się sobą nawzajem. - Poczula, że całuje ją we włosy, ale zaraz roześmiał się: - Przypuszczam, że chcesz się na początek rozpakować i rozwiesić swoje stroje.

Kiedy ją puścił, odczuła lekki zawód. O ubraniach nie pomyślała nawet przez sekundę.

- Ciuchy, które kupiłam na podróż, są raczej proste. Nie sądziłam, że będę się tu musiała stroić.

- Cudzoziemcy nie przywiązują do ubioru większej wagi, ale Hiszpanie z najbliższego miasteczka, którzy przyjeżdżają tu coś zjeść, zawsze są bardzo elegancy. Jak już bawią się za duże pieniądze, to lubią być wytworni. Ale ty ubieraj się, jak chcesz. Masz świetny gust. Chodź, zrobimy porządek z rzeczami, a potem trochę odpoczniemy.

- Fantastyczna jest ta łazienka! - zawołała Liz parę minut później, stawiając kosmetyczkę na marmurowym blacie otaczającym bliźniacze umywalki. Cam stanął w progu, ale zadzwonił dzwonek, poszedł więc otworzyć drzwi. Liz usłyszała młody kobiecy głos. Wróciła do salonu i

zobaczyła pulchną dziewczynę w czarnej spódniczce i białej bluzce. Ustawiała nakrycia do herbaty na niskim stoliku przy kanapie.

- ***Buenos tardes.***

- ***Buenos tardes.*** - Liz uśmiechnęła się do niej.

- Herbata będzie za mocna - orzekł Cam, gdy dziewczyna wyszła. - Wyjmijmy lepiej saszetki.

Usiedli i pili herbatę, rozmawiając o urządzeniu pokoju i łazienki.

- Do kolacji zostało sporo czasu. Może wykąpiemy się i zrobimy sobie sjęstę - zaproponował Cam.

- Dobra myśl.

- Możemy wykapać się razem. Mamy przecież olbrzymią wannę.

Wspólna kąpiel! Nagle Liz sparaliżowało onieśmienie. Z Duncanem, w dniu wyjazdu w podróż poślubną dotarli na miejsce późno, zjedli kolację w hotelowej restauracji, poszli na spacer i wrócili do zarezerwowanego pokoju. Wszystko stało się przy zgaszonym świetle. A dziś, gdy nie miała już uroku dziewiętnastoletniej dziewczyny, miała wejść do wanny z mężczyzną, który fizycznie był dla niej kimś niemal obcym. Nie miała pojęcia, jak zachować się w tej sytuacji.

Woda lała się i lała. Kiedy Cam stanął w drzwiach, jedynym jego ubraniem był owinięty wokół bioder ręcznik. Liz podniosła się, usiłując nadrabiać miną. Wziął ją za rękę, wprowadził do łazienki i zamknął drzwi.

- Czekałem na to tak długo - powiedział, rozpinając guziczki jej żakiem.

Nie była w stanie mówić. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej poruszona, przerażona i spięta. Jeden wielki skurcz. Tymczasem Cam zsunął żakiecik z jej ramion i powiesił na haczyku w zasięgu ręki.

- Ależ to ładne. - Patrzył na jej jasnoniebieską koszulkę, obrębioną białą atlasową lamówką.

Sięgnął do tyłu, by odpiąć guzik przy pasku spódnicy i rozpiął zamczek. Spódnica opadła na podłogę. Cam podniósł ją i powiesił obok żakietu. Liz zsunęła pantofle na obcasie i nagle poczuła się dużo niższa. Gdy Cam zdejmował jej koszulkę przez głowę, musiała podnieść ręce. Myślała, że teraz kolej na biustonosz, ale poczuła, że delikatnie ściąga z niej rajstopy, podkładając palce pod gumkę, pieszcząc biodra, łydki i stopy. Chwilę później rajstopy leżały na kafelkach jak zrzucona skóra węża.

Cam położył ręce na jej talii, przygarnął ją do siebie i pocałował namiętnie. Rozpinając jej biustonosz i nie przerywając pocałunku, rozebrał ją całą. Na koniec cofnął się, witając jej nagość spojrzeniem, od którego zrobiło się jej gorąco.

- Bez ubrania jesteś jeszcze piękniejsza - powiedział chrapliwie i szybkim ruchem odwinął z bioder ręcznik. Na mgnienie oka ukazało się jego cudowne, podniecone ciało. Potem odwrócił się, wszedł do wanny i usiadł.

- Chodź... woda jest wspaniała. - Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

Nie miała wyboru. Odwracając się do niego plecami, przestąpiła brzeg wanny najpierw jedną, potem drugą nogą i szybko ukucnęła między jego długimi, opalonymi udami. Pomógł jej, przytrzymując ją za biodra, a potem ześlizgując się niżej, objął ją i przyciągnął do siebie. Po raz pierwszy w życiu doświadczyła rozkoszy opierania się w wodzie o ciało mężczyzny. Było jej cudownie.

- Dobrze ci? - wymruczał.

Nie ufając swemu głosowi, kiwnęła głową.

- Będzie jeszcze lepiej... dużo lepiej. - Pieścił jej brzuch i piersi. Doznawała czegoś niezwykłego, gdy nagle poczuła, jak prężą się jego mięśnie.

- Zapomniałem o czymś.

Razem z nią uniósł się, żeby sięgnąć do kurków z boku wanny. Raptem woda zaczęła się burzyć, pojawiły się bąbelki. Cam usiadł i zaczął znów delikatnie pieścić piersi Liz, dotykając jednocześnie kciukiem pępka. Usłyszała swoje przeciągłe, drżące westchnienie i nagle, jakby samorzutnie i bez udziału jej woli, ręce Liz, leżące dotąd na udach, poruszyły się i objęły nogi Cama.

- Zamknij oczy - usłyszała jego głos. - Nie myśl o niczym poza tym, że jest ci dobrze... że jest nam obojgu wspaniale.

Usłuchała go. Kiedy jednak zsunął rękę z jej brzucha niżej, zwinęła się w kłębek.

- Odpręż się, wszystko jest w porządku, tak jak trzeba.

Ten jego niski, łagodny głos byłby odpowiedni do uspokajania nerwowych klaczy, pomyślała z irytacją. Przypominała je, to prawda, ale denerwowała się nie tym, co robił, a raczej własną niemożnością... Myśl tę ucięła fala rozkoszy, jaką wzbudził kolejnymi namiętymi pieszczotami.

Mijały minuty. Słyszać było jedynie pluskanie wody i coraz głośniejszy oddech Liz. Nagle przestała panować nad swoim ciałem, wstrząsanym spazmem rozkoszy. Potem, gdy ręce Cama skończyły dotykać jej najwrażliwszych miejsc i przeniosły się pieszczotliwie na ramiona, uświadomiła sobie coś, co w ekstazie uszło jej uwagi. Poczowała na pośladkach mocny nacisk. Była odprężona, ale Cam... wręcz przeciwnie. Mimo to, mimo że rozsadzało go pożądanie, nie okazał zniecierpliwienia ani pośpiechu. Jakie to dziwne! Ze

współżycia z Duncanem wyniosła przeświadczenie, że męskie potrzeby muszą być zaspokojone szybko. Cam umiał się kontrolować.

- Jeżeli morzy cię sen, nie przejmuj się mną - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Zdrzeninij się... dobrze ci to zrobi.

- A ty? - wymruczała sennie.

- Nieważne. To ty masz się teraz zrelaksować. Im bardziej będziesz odprężona, tym lepiej dla nas obojga.

Miała tak ogromną potrzebę snu, że chyba rzeczywiście usnęła na chwilę. Kiedy poczuła, że Cam ją pieści, nie była pewna, czy to się dzieje naprawdę.

- Cam, nie, proszę cię - zaprotestowała cicho, lecz nie usłuchał.

Powoli znów zaczęła w niej narastać rozkosz. Poddała się jej, bezradna wobec tych doświadczonych, czułych rąk, umiejętnie wyciszających opór. Psychicznie nie akceptowała swojej kapitulacji, lecz zablokowany był nie jej umysł, lecz zmysły. To one toczyły same ze sobą jakąś dziwną wojnę. Czuła, że grają w niej wszystkie nerwy i nie potrafiła powstrzymać ekstatycznych westchnień, a na koniec - prawie krzyku, który próbowała stłumić, zasłaniając usta ręką.

- Ktoś, kto by stał pod drzwiami, mógłby pomyśleć, że cię tu torturują - zażartował Cam, i w pewnej mierze Liz tak właśnie się czuła. Swoje instynktowne pragnienia trzymała na wodzy od tak dawna, że teraz pełne wyzwolenie się z narzuconych rygorów wydawało się jej czymś tak strasznym, jak wyjawienie najgłębszych tajemnic najgorszemu wrogowi.

- Lepiej przenieśmy się gdzie indziej – powiedział Cam. - Jeśli jeszcze trochę posiedzimy w tej wannie, będziesz miała ręce jak praczka.

Podciągnął się do pozycji siedzącej i przed wstaniem pocałował Liz w kark, a gdy wynurzyła się z wody, owinął ją dużym kąpielowym ręcznikiem. Wyłączył jacuzzi i wyciągnął korek. Najwyraźniej zupełnie nie zawstydziała go własna nagość. Pozazdrościła mu tej swobody, ale...

Ileż kobiet widziało go takiego podnieconego, pomyślała z bólem, odwracając oczy. Zauważył to i zarzucił na ramiona płaszcz kąpielowy.

- Chodź, wypróbujemy nasze łóżko.

- Czy nie powinniśmy najpierw wytrzeć stóp? W odpowiedzi posadził ją na wannie, wziął mniejszy ręcznik i zaczął osuszać jej stopy.

- Jakiś ty dla mnie dobry...

- To nietrudne. - Wesóło błysnęły mu oczy.

Odłożył ręcznik i wziął ją na ręce. Nikt nigdy jej nie nosił, przynajmniej od czasów dzieciństwa. Było w tym coś dziwnie podniecającego, a zarazem zniewalającego.

Raptem poczuła się krucha i bezradna, zdana całkowicie na niego. W życiu by się nie spodziewała, że taki stan ducha może jej odpowiadać. Ponieważ jednak działo się to za sprawą Cama, czuła się świetnie. Nie tyle zniewolona, co uspokojona. Potem, gdy leżała z zamkniętymi oczyma, wyczerpana oszłamiającymi spazmami rozkoszy, nie mogła się nadziwić, że zbliżenie okazało się tak naturalnym, prostym i... cudownym aktem. Nigdy przedtem nie miała wrażenia takiej lekkości, ale też nic,

czego doświadczyła w swoim małżeńskim pożyciu, nie przypominało tego, co przeżyła teraz. Cam uprawiał seks po mistrzowsku. Spragniona ponownego doznania rozkoszy, jaką jej dał, poszła za głosem instynktu, zarzuciła mu ręce na szyję i objęła jego biodra nogami.

Postąpiła

chyba słusznie, gdyż z głębi piersi Cama wydobył się ten sam

gardłowy dźwięk, którym ona odpowiedziała na jego pieszczoty w wodzie. Przestała myśleć i pozwoliła, by całkowicie zawładnęły nią obudzone z długiego snu zmysły.

Uniosła powieki i zobaczyła nie sufit, lecz coś podobnego do dachu namiotu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to baldachim. Pomyślała, że w jej życiu stało się coś niezwykłego, co nieodwracalnie je zmieniło. Nagle wszystko sobie przypomniała. Obok niej leżał jej mąż, upragniony kochanek. Och, jakby chciała powtórzyć to wszystko, co się stało - już, natychmiast. Cam jednak spał. Leżał na wznak z jedną ręką podłożoną pod głowę, a drugą rozpostartą na brzuchu. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, Liz uniosła się na łokciu i zaczęła mu się przyglądać. Najpierw uśmiechającej twarzy, a potem całemu odprężonemu ciału, niewinnemu w swej bezwstydnym na- gości.

W jej poprzednim małżeństwie było tak mało prawdziwej intymności, a ona właśnie tego była zła. Chciała wreszcie zobaczyć, jak to się dzieje... Dać Camowi tę samą, dojmującą i długotrwałą rozkosz, jaką on ofiarował jej. Wiedzioną nieodpartym pragnieniem, położyła leciutko rozpostartą dłoń poniżej jego pępka. Cam nie poruszył się. Ośmielona, zsunęła palce niżej, nachyliła się i przyłożyła wargi do miejsca, na którym trzymała rękę, smakując skórę językiem. Jej dłoń powędrowała dalej, poznając nieznany obszar ciała, które było takie, jakie powinno być ciało mężczyzny – smukłe i silne.

Kto by pomyślał, że taki macho potrafi wykazać się precyzyjną intuicją w zbliżeniu z kobietą taką jak ona, obciążoną w sferze seksu tyloma niepowodzeniami i kompleksami... Poczowała głęboką wdzięczność za jego cierpliwość i zrozumienie. W ciągu jednego dnia - ba, w ciągu godziny - ofiarował jej więcej rozkoszy, niż znała w dotychczasowym życiu.

Przez dłuższą chwilę obsypywała lekkimi pocałunkami i delikatnymi pieszczotami wszystkie części jego ciała, z wyjątkiem tej, której

pragnęła dotknąć. Wreszcie zdobyła się na odwagę i leciutko objęła ją palcami,
gotowa natychmiast cofnąć rękę, gdyby Cam zaczął się budzić.
Tymczasem, choć on sam pogrążony był we śnie, jego ciało zaczęło odpowiadać. Z rosnącym przekonaniem o mocy swego dotyku Liz obserwowała cud przemiany. Dlaczego, aż do dziś, myślała zawsze o wzwodzie u mężczyzny jako o czymś groteskowym, kiedy tak naprawdę było w tym wiele piękna? Postrzegam to w ten sposób, bo Kocham Cama, pomyślała. Nic mnie w nim nie brzydzi, wszystko wprawia w zachwyt. Ale nie mogę mu tego powiedzieć. Nigdy. Swoje uczucia mogę wyrazić tylko w ten jeden sposób, kiedy on śpi.

- Czy próbujesz mi coś powiedzieć?

Poderwała gwałtownie głowę.

- Myślałam... że śpisz.

- Spałem, ale mnie obudziłaś... i to najpiękniej jak można. - Kiedy próbowała się odsunąć, przytrzymał jej rękę. - Tak mi dobrze...
Chciałbym być tak budzony do końca życia.

Poszukał ustami jej ust.

Gdy tuż przed dziewiątą zeszli na kolację, w barze była już spora grupa hotelowych gości. Kelner podał drinki. Cam stuknął się z Liz kieliszkiem, zajął jej w oczy i powiedział:

- „Za mnie w twoich ramionach i za ciebie w moim pokoju...

Za drzwi zamknięte i zgubiony klucz...

Za noc, która oby trwała tysiąc lat”.

Nie mówił głośno, ale siedząca nieopodal kobieta, najwyraźniej

znudzona rozmowa, jaką jej podstarzały mąż prowadził ze znajomym, posłała Camowi takie zdumione spojrzenie, że Liz miała ochotę głośno się roześmiać.

- Czy to cytat z wiersza?

Skinął głową.

- Pewnie niezbyt dokładny, autorstwa anonimowego poety. Znalazłem te wersy w tomiku poezji miłosnej. Poczytamy go sobie razem, kiedy będziemy już w domu. Chociaż, szczerze mówiąc, nie muszę na razie szukać inspiracji w literaturze. - Rozejrzył się po sali i zniżył głos. - Część tego towarzystwa wygląda tak, jakby zapomniała już o wszystkich przyjemnościach życia poza rozkoszami stołu.

- Bardzo możliwe - odpowiedziała współczującym tonem. Aż do wczoraj była w podobnej sytuacji, a dziś rozpierało ją szczęście.

Cam nakrył jej rękę dłonią.

- Jakiś czas temu zastanawiałem się, jak byś wyglądała z błyszczącymi, rozpromienionymi oczami. Teraz już wiem.

- To, co widzisz, jeden z moich ulubionych poetów nazwał „lśnieniem zaspokojonej żądzny”.

Była ciekawa, czy wiedział, jakiego poetę miała na myśli, i czy znał kontekst frazy, którą zacytowała. Cam był odczytany, ale William Blake, mistyczny poeta i malarz, niedoceniony za życia, wciąż nie był tak znany, jak na to jej zdaniem zasługiwał.

- W szkole uważałem poezję za skończone nudziarstwo, póki nie przeczytałem wiersza Blake'a. Pamiętasz na przykład to:

„Tygrysie! Łuną dzikiej mocy
W ogromnych świecisz borach nocy!

Twą przeraźliwą piękność jakież
Stworzyły ręce, jakież oczy?*¹"

Rozmowa o życiu Blake'a i jego malarstwie trwała aż do końca kolacji.

- Noc jest ciepła, a księżyc w pełni. Przejdziemy się po ogrodzie? - zaproponował Cam, gdy wyszli z hotelowej restauracji.

W zgodnej ciszy spacerowali pod rękę alejkami wyłożonymi kamieniami.

- Jest jednak chłodniej, niż myślałem – odezwał się w pewnej chwili. - Weź moją marynarkę. Jeszcze mi zmarzniesz. - Otulił ją i pocałował. - Może lepiej odłożmy spacer na jutro - wymruczał tuż przy jej ustach. - Kamienne ławeczki wyglądają romantycznie, ale nie są wygodne. Na górze mamy kanapę... Co wybierasz?

- Głosuję za kanapą - odparła, myśląc o jeszcze wygodniejszym łóżku.

Ostatniego dnia pobytu w zamku zrobili sobie wspólną kąpiel, a potem wrócili do sypialni, żeby jeszcze raz się kochać.

- Było ci tutaj dobrze? - zapytał cicho Cam.

Liz uniosła głowę tylko na tyle, żeby pocałować go w ramię.

- Głupie pytanie... Wiesz, że tak. Te nasze spacerowanie, jedzenie, widoki, leniuchowanie... to wszystko było wspaniałe. Wszystko.

¹ *William Blake „Tygrys”, [w:] „Poezje wybrane” PIW, Warszawa 1972, przekł.. Zygmunt Kubiak.

Niezupełnie tak czuła, ale nie powiedziała mu całej prawdy. Leżała w jego ramionach, byli małżeństwem, czyż nie tak?

Cam zastanawiał się, czy nie zaproponować przedłużenia pobytu. Pokusa była silna. Jak powiedziała Liz, miejsce było prześliczne, a jedzenie znakomite. Nie wspomniała tylko o jednym - o tym, jak ważny stał się dla nich seks. Nie znał do tej pory kobiety, której pożądałby bardziej. Łączyły ich też inne sprawy i zainteresowania. Liz odpowiadała mu nie tylko fizycznie. Nie zapomniał jednak, że po pierwszym zbliżeniu płakała. Wydawało jej się zapewne, że usnął, ale było inaczej - słyszał, co się dzieje. Może powinien był z nią o tym porozmawiać, a nie chować głowę w piasek. Może popełnił błąd.

Tego wieczoru, gdy wrócili do Valdecarrasca, jedli kolację u Drydensów.

- To banalne określenie, wiem - powiedziała Leonora, ściskając Liz na powitanie - ale nie znajduję lepszego... Po prostu promieniejesz. Cam też, jeśli można tak powiedzieć o mężczyźnie. Podobało się wam w tym zamku? Nigdy tam nie byłam.

- Piękne miejsce - odparł Cam. - Ale to dzięki Liz było mi aż tak wspaniale. - Objął ją tak rozkochanym spojrzeniem, że przeszło jej przez myśl, iż jako aktor odniósłby może jeszcze większy sukces niż jako telewizyjny reporter. Odpowiedziała mu nieco wymuszonym uśmiechem.

Kolacja, którą przyszykowała Leonora, nie była zbyt wyszukana. Awokado z krewetkami, a potem pikantna tarta z bakłażanami, papryką i serem. O jedenastej Cam i Liz pożegnali się z miłą parą i poszli do domu.

Nocami, w sypialni, o której Liz nie potrafiła jeszcze myśleć jako o wspólnej, łatwo było się łudzić, że to wyłącznie kwestia czasu, nim wrażenie, że są normalnym małżeństwem, stanie się nie iluzją, a najprawdziwszą prawdą. Rano jednak Liz miewała chwile zwątpienia. Z każdym dniem rosło w niej pragnienie, żeby wyrazić uczucie słowami. Czasem, gdy Cam czule ją pieścił, miała ochotę się uchylić, ponieważ tak naprawdę zależało jej przede wszystkim na tym, żeby powiedział: „Kocham cię”. Jak jednak miał to powiedzieć, skoro nie była to prawda? Pragnęła gwiazdki z nieba, wiedziała o tym. Nie umawiali się na miłość. Powinna być zadowolona z tego, co zyskała - piękny dom i kochanka, który w dodatku się z nią ożenił. Nie można mieć wszystkiego, powtarzała sobie. Tak, to prawda, ale choć życie wolne od trosk materialnych sprawiało jej przyjemność, zamieniłaby *La Higuera* na prymitywny górski szałas, byle tylko usłyszeć od Cama dwa małe słówka.

Cam zaczął się czuć tak, jakby w jego domu zagościł duch - duch mężczyzny, który co prawda zakończył życie heroicznie, ale nie był chyba kimś szczególnie zajmującym. Dręczyły go podejrzenia, że Liz akceptowała upodobania swego byłego męża. Podejrzewał też, że tak naprawdę nie była do końca szczęśliwa w nowym małżeństwie, choć ich życie erotyczne układało się świetnie. Lubiła zbliżenia, ale kiedy nie byli razem w łóżku, miał wrażenie, że przygniata ją poczucie winy. Jak długo jeszcze miała się tak dręczyć, a on razem z nią? Chciał, żeby była szczęśliwa, szczęśliwsza niż teraz. Nie przytłaczał go balast przeszłości, lecz zaczynał podejrzewać, że z nią może być inaczej. A jeśli to się nigdy nie zmieni?

Pewnego popołudnia, gdy pracował nad artykułem na zamówienie wpływowego magazynu, Liz poszła do swego domku przejrzeć szafki i szafy. Prawie się już zdecydowała sprzedać go i zainwestować

mądrze pieniądze.

Pośród rzeczy, które wpadły jej w rękę, był album ze zdjęciami ze ślubu z Duncanem i innymi fotografiami. Przeglądając je i wyjmując te, których, jak sądziła, teściowie mogli nie mieć, doszła do portretowego zdjęcia Duncana. Przed zaręczynami trzymała je zawsze w szufladce stolika przy łóżku, a potem stało, oprawione w ramki, na toaletce. Duncan zrobił je sobie w garniturze, który kupił, szukając pracy. Miał wówczas włosy ostrzyżone według najnowszej mody i uśmiechał się trochę zarozumiale. Ileż to godzin spędziła, wpatrując się w tę twarz, która wydawała się jej wtedy bardzo męska i pełna uroku. Jakże inaczej ją teraz postrzegała! Raptem oczy zaszyły jej mgłą, wargi zadrżały, po policzkach potoczyły się łzy jak groch.

W tym momencie do domu wszedł Cam.

- Cześć, jak leci? - spytał, zamykając za sobą drzwi. - Skończyłem pisać na brudno swój artykuł. Dam ci go później do przeczytania. Chcę wiedzieć, co myślisz. - Zauważył nagle, że Liz szuka chusteczki i ociera mokrą od łez twarz ręką.

- Liz, kochana, co ci jest? - Podał jej swoją chustkę, spostrzegł zdjęcie i wyjął z jej ręki.

- Kto to jest? Czy zresztą muszę pytać? - dodał z goryczą. - Duncan.

Przyjrzał się swemu poprzednikowi i na jego twarzy odbiła się cała gama emocji - od zaciekawienia po wyraz wzdargy, tak jakby wystarczył mu rzut oka, by odgadnąć to, czego zrozumienie zabrało Liz tyle czasu.

Raptem rzucił fotografię na stos innych i zwrócił do Liz rozognioną twarz.

- Na miłość boską! Masz zamiar kwękać przez całe życie? On nie żyje od czterech lat. Skończyło się, koniec, kropka. Teraz jesteś moją

żoną. To nie w porządku, że wymykasz się tutaj, żeby tęsknić za przeszłością.

- Nie tęsknię za niczym. Nic nie rozumiesz.

- Naturalnie. Nie rozumiem. Jestem tępak. Pora, żebyś odcięła się psychicznie od tego, co było. Życie biegnie naprzód i jeśli człowiek ma choć trochę oleju w głowie, godzi się z tym. A my... Owszem, nie wzięliśmy ślubu z przyczyn, dla których ludzie zwykle się pobierają, ale wszystko się zmieniło. Kocham cię... i ty też mogłabyś mnie pokochać, gdybyś tylko włożyła w to trochę serca, gdybyś przestała tęsknić za tamtym.

Liz poderwała się z krzesła.

- Co ty mówisz? Kochasz mnie? Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

- No to mówię teraz! - krzyknął ze złością. – Nie sądziłem, że się w tobie zakocham, ale... stało się. Chcę, żebyś i ty mnie kochała. Mnie, nie jego. - Spojrzał z nienawiścią na zdjęcie Duncana.

- Nigdy go nie kochałam.

Po raz pierwszy w życiu wypowiedziała na głos prawdę, której przez całe lata wołała sobie nie uświadamiać do końca, gdyż byłoby to o wiele boleśniesz niż życie w kłamstwie.

- Nie kochałaś go? - powtórzył zdumiony. – Nie wierzę!

- To było cielece zauroczenie, a nie prawdziwe uczucie.

Zrozumiałam to już w czasie podróży poślubnej. Różniła się od naszej tak bardzo, że... ciężko by ci było to sobie wyobrazić. Ty jesteś pod każdym względem inny niż Duncan. Jesteś czuły, tolerancyjny, pełen wyobraźni. Nasza pierwsza noc w zamku była dla mnie jak wprowadzenie do raju... Dręczyło mnie wyłącznie to, że nie mogłam ci wyznać miłości. Czy ty naprawdę mnie kochasz? Naprawdę?

W odpowiedzi uściskał ją tak mocno, że bała się, by nie połamał jej żeber.

- Co za dureń ze mnie - powiedział po chwili uspokojony, całując ją we włosy. - Kocham cię od dawna, ale tego nie rozumiałem. Byłem niesamowicie zazdrosny o twego pierwszego męża, ale nie potrafiłem sobie tego wszystkiego złożyć w całość. Jak mogłem być takim głupkiem? Wyszłaś za kompletnego osła!

Pocałował ją z czułością, którą знаła, ale która zyskała dla niej na znaczeniu, gdyż wreszcie nie mieli przed sobą tajemnic. Całowali się i całowali, aż wreszcie Cam porwał ją na ręce i przeniósł do sypialni na górze, gdzie zdarli z siebie ubrania i nie rozścielając łóżka, pogrążyli się w miłości. Pieszczotom towarzyszyły wypowiedane raz po raz szeptem słowa: kocham, kocham cię, kocham. Potem usnęli na krótko i obudzili się w tym samym momencie, rozkoszując się odczuciem cudownej harmonii i jedności.

Później .siedzieli w słońcu przy figowcu, słuchając brzęczenia pszczoł w krzewach lawendy, wdychając słodki zapach kwiatów pomarańczy.

- Skoro nie byłaś szczęśliwa z Duncanem – zagadnął Cam - to czemu od niego nie odeszłaś?

Milczała przez dłuższą chwilę.

- Przysięgam, że będę jego żoną na dobre i na złe. Takiej przysięgi się nie łamie, chyba że dochodzi do jakiegoś okrucieństwa czy niewierności. Duncan na swój sposób mnie kochał. Nie zasłużył sobie na to, żebym go zostawiła... no i nie utrzymałby domu bez mojej pomocy. - Westchnęła. - To długa historia. Naprawdę chcesz posłuchać?

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

- Duncan był moim sąsiadem. Miałam siedemnaście lat, gdy zakochałam się w nim po uszy, a przynajmniej tak mi się wydawało. Co w tym wieku wie się o miłości? Gdyby on się mną nie interesował albo gdyby któreś z nas wyjechało i zobaczyło kawałek świata, ta znajomość urwałaby się. Teraz wiem, że bez szkody dla nas.

- Ale ty mu się podobałaś?

- Tak, a nasi rodzice byli nam przychylni. Kiedy skończyłam dziewiętnaście lat, już nie mogli zabronić nam małżeństwa. Mogli jednak i powinni zrobić coś, żebyśmy ochłonęli i trochę poczekali. Byliśmy tacy niedojrzali i młodzi.

- Powiedziałaś, że uświadomiłaś sobie swój błąd w czasie podróży poślubnej. Byłaś dziewicą. A on... Miał przed tobą dziewczynę?

- Nie jestem pewna. Pytałam go to, ale wykręcał się od jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli miał jakieś doświadczenia, to niezbyt bogate. Był w sprawach seksu jak daltonista, w dodatku głuchy... Wiedziałam, że za pierwszym razem może mnie boleć, ale bolało zawsze.

- Bardzo cię kocham i... już pani dziękuję...

Liz uśmiechnęła się słabo.

- Dokładnie. Przeczytałam trochę poradników i mówiłam sobie, że on... że my... robimy to nie tak, jak powinniśmy.

- A on nie chciał pogodzić się z myślą, że nie jest najwspanialszym kochankiem na świecie?

- Skąd wiesz?

- Świat pełen jest facetów, którzy nie mogą znieść najmniejszej krytyki, nawet jeśli chodzi o prowadzenie samochodu, a co dopiero mówić o seksie. Próbowалаś podsunąć mu jakiś poradnik?

- Tak, ale nic z tego nie wyszło. Duncan był w wielu sprawach bardzo pruderyjny. Myślę, że odziedziczył to po matce. Uprawialiśmy seks w środy i soboty, zawsze przy zgaszonym świetle. - Po raz pierwszy była w stanie śmiać się z tego szczerze i bez przykrego uczucia dławienia w krtani.

- **Dios mio!** - zawtórował jej Cam. - Co za idiota? - Objął ją i przyciągnął do siebie. - Jak ty to wytrzymałaś?

- Czasem sama się zastanawiam. Zresztą nie chodziło wyłącznie o nieudane współżycie. Co innego nas śmieszyło, mieliśmy różne zainteresowania i poglądy. Ale cóż... nie sądzę, żeby to było aż tak niezwykle. Idziesz na przykład, do restauracji i widzisz pary, które nie mają sobie nic do powiedzenia. Nie rozmawiają ze sobą, nie śmieją się. Siedzą i jedzą.

- A zatem to, co wzięłem za smutek, gdy zobaczyłem, że płaczesz, to nie był żal za utraconym szczęściem?

- Popłakałam się chyba raczej z poczucia winy, że nie potrafię już odczuwać żaloby po mężu. Może też był w tym płaczu strach, bo znowu uległam urokowi mężczyzny i wpadłam w podobną pułapkę. Wbiłam sobie do głowy, że mężczyzna o tak bujnym życiu erotycznym jak ty musi być kimś bezwartościowym, a przynajmniej mało wartym... Nie rozumiałam i właściwie do tej pory nie rozumiem, dlaczego nie chciałeś kochać się ze mną przed ślubem. To, że najsylniejszy w całej okolicy podrywacz nie korzysta z okazji, wydawało mi się bardzo dziwne.

- Ciężko mi ci to wyjaśnić, ale prawda jest chyba taka, że ów podrywacz znalazł kobietę swego życia i bał się każdego niewłaściwego kroku. Nie wiedziałem też kim jestem dla ciebie... Żeby ludziom było razem dobrze w łóżku, musi czasem upłynąć trochę czasu. Uznałem więc, że lepiej odłożyć te sprawy do momentu, gdy oboje nie będziemy już mieli odwrotu.

Kilka dni później, po powrocie od Leonory, z którą pojechała wybrać ramę do portretu, Liz zobaczyła Cama w ogrodzie. Siedział i czytał jakiś list. Nalała źródlanej wody do dwóch wysokich szklaneczek i też wyszła do ogrodu.

- Jest coś do mnie?

- Dziś nie, kochana. - Podniósł się, żeby ją pocałować, i przesunął na bok papiery i gazety, robiąc dla niej miejsce. - Jak się udała wizyta u ramiarza?

- Świetnie. Znalazłyśmy coś, co nam się spodobało. Tobie też się chyba spodoba... - Odczuła nagle, że Cam błędzi myślami gdzie indziej.

- Dostałem - powiedział powoli – propozycję objęcia wakatu po jednym z najwyżej cenionych dziennikarzy w Waszyngtonie. Zmarł parę tygodni temu po dwudziestu latach pracy na swoim stanowisku. To był prawdziwy as w naszym zawodzie... Spotkał mnie wielki zaszczyt...

W pamięci Liz odezwało się natychmiast coś, co powiedziała matka Cama podczas spotkania przed ślubem: „Mam nadzieję, że wiesz, co cię czeka. Nigdy nie będziesz pewna jutra”.

- Wspaniała wiadomość - odparła bez wahania. - Kiedy zaczynasz? Jeśli potrzebują cię od zaraz, mogę dojechać do ciebie później.

Wyraźnie go zaskoczyła.

- Nie mówisz chyba poważnie? Kochasz to miejsce. Nie chcesz go opuszczać.

- Nie chciałabym wracać na swoje londyńskie śmiecie, ale okazja, żeby pomieszkać w Ameryce, to co innego. Valdecarrasca nie ucieknie. Zawsze możemy tu wpadać w wolnych chwilach.

Cam wypił wodę duszkiem, zerwał się z ławki i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Sam już nie wiem. Waszyngton to metropolia, musiałbym mieszkać w centrum.

- Uważam, że powinienes spróbować. Inaczej zawsze będziesz tego żałował.

Ukucnął i położył ręce na jej kolanach.

- Ale co z tobą? Musimy się zastanowić, co będzie dobre dla nas obojga. Jeśli za parę miesięcy stwierdzisz, że jesteś w ciąży, czy nie lepiej byłoby ci tutaj?

Liz od paru dni podejrzewała, że jest w ciąży, ale nie przyznała się do tego.

- Dla kobiety w moim wieku rodzenie pierwszego dziecka w Waszyngtonie byłoby z pewnością bezpieczniejsze niż tu, na prowincji. Opieka medyczna w Stanach jest ponoć fantastyczna. A tutaj... nie wiem, jak jest naprawdę. O szpitalach słyszałam dużo dobrego, ale i sporo ponurych historii. Zresztą, nieważne. Najistotniejsze jest to, że....Jeśli chcesz jechać, to jedziemy. Mogłabym mieszkać w tylu miejscach... Ale jest tylko jeden mężczyzna, z którym pragnę żyć i który chce być ze mną. Rozumiesz?

Ta najważniejsza decyzja nie była jedyną, którą musieli podjąć.

- Nieszczególnie odpowiada mi myśl o tym, że ktoś zamieszka w naszej willi - powiedział Cam - ale nie ma sensu, żeby stała pusta przez parę lat.

- A może zostawiłbyś swoje najcenniejsze rzeczy u mnie? - zaproponowała. - Wyobraź sobie: wracamy i stwierdzamy, że czyjeś dziecko poplamilo na przykład portret kapitana Fieldinga albo zniszczyło twoje drogocenne dywany.

- Nasze - poprawił ją. - Mam nadzieję, że agencja znajdzie spokojnych lokatorów. Ale rzeczywiście możemy potraktować twój domek jako magazyn.

- Nasz domek - skorygowała żartobliwie, a Cam wziął ją w ramiona.

- Domy, posiadłości, to nieważne. Liczy się wyłącznie to, że jesteśmy razem.

Rankiem ostatniego dnia pobytu w Hiszpanii Liz wybrała się do piekarni po chleb i zrobiła sobie dłuższy spacer. Poszła na cmentarz i stanęła na kamiennych schodkach. Popatrzyła na dachy wioski i winnice w dolinie, na pomarańczowe gaje. Między rzędami winorośli prześwitywała miedziana ziemia. Będę tęsknić, pomyślała Liz. Kiedy wrócimy? Ile czasu upłynie? Miała już pewność, że jest w ciąży. Zastanawiała się, kiedy powiedzieć o tym Camowi. Może podczas lotu z Madrytu do Waszyngtonu? A może dopiero wtedy, gdy jej instynktowne przeczucie potwierdzi lekarz?

Zaczęła schodzić w dół, myśląc o tym, czy Valdecarrasca zmieni się, gdy ich tu nie będzie. Miała nadzieję, że nie. Kochała to miejsce. Było piękne i oddalone od głównego nurtu współczesnego, wciąż spieszącego się świata.